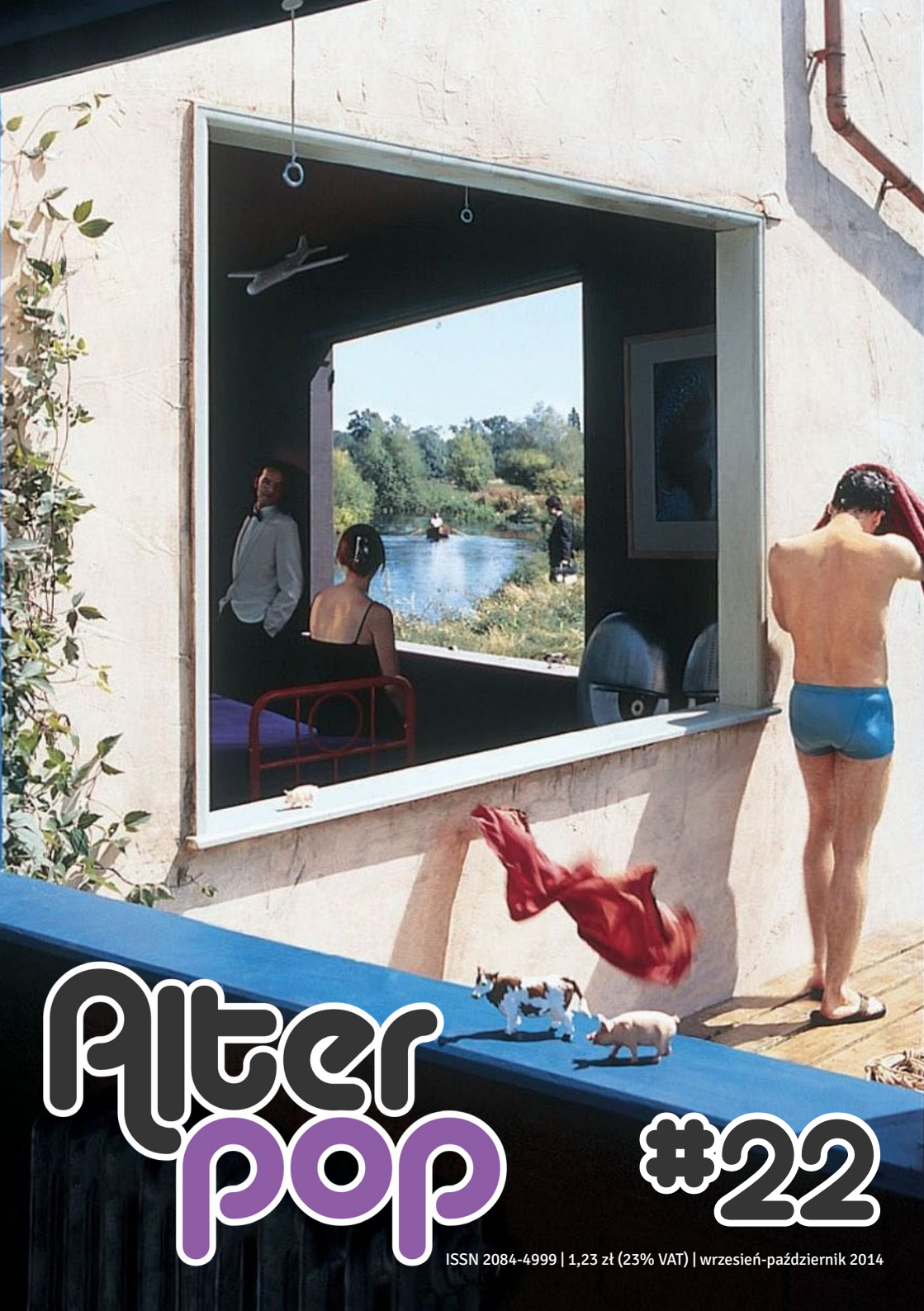




Alter pop

#22

ISSN 2084-4999 | 1,23 zł (23% VAT) | wrzesień-październik 2014

Dźwięk:

Obraz:

Słowo:

Interakcje:

Alter
pop
MAG E-ZINE

numer 22
wrzesień-paźdz. 2014
ISSN 2084-4999

Redaktor naczelny

Tadeusz Bisewski

Redakcja

Maciej Kaczmarski
Agnieszka Kalus
Jakub Milszewski
Agnieszka Młynarczyk
Dawid Myśliwiec
Wojciech Onyszków
Dawid Wiktorski

Korekta

Michał Adamski

Wydawca

Fundacja Alterpop
Plac Kaszubski 8/205
81-350 Gdynia



JESTEŚMY W BIBLIOTEKACH!

UDAŁO SIĘ!

Dzięki zbiórce na Wspieram.to uruchomiliśmy specjalny adres internetowy dla bibliotek. Adres ten biblioteki ustawiają jako jedną ze stron startowych na komputerach dla czytelników.

Sprawdź czy w Twojej bibliotece jest już Alterpop :).

Serdeczne podziękowania za wsparcie otrzymują:

Portal księgowości internetowej wFirma.pl, Misja: K.S.I.Ą.Ż.K.A., Michał Adamski, Bartek Barański, Elżbieta Bisewska, Jeremiasz 'Jerry' Bremer, Sławomir Czarnecki, Marcin Galicki, Piotr Głazik, Jadwiga "Hedvige" Hołowiecka, Bartłomiej Jaworski, Marta Jeruszka, Dominika Kałabun, Jaśmina Kamińska, Joanna Kirstein, Mateusz Koziorowski, Karol Król, Kajetan Kusina, Jakub Milszewski, Agnieszka Młynarczyk, Wojtek Onyśków, Emilia Polkowska, Paweł Sulżycki, Marta Szloser, Łukasz Walczyński, Dawid Wrona i siedmiu Anonimowych Wspieraczy.

Doładuj telefon i czytaj Alterpopa:

doładowania.alterpop.pl

** z potwierdzeniem doładowania zawsze otrzymasz link do najnowszego numeru*

PREMIERY

ptotowe

#acid #braindance

Aphex Twin

Syro

Przez ponad 20 ostatnich lat Richard D. James pracował na takie epitety, jak „geniusz”, „wizjoner” czy „najważniejszy twórca muzyki elektronicznej”. Zaczynał od nagrywania skromnych produkcji na taśmach. Dziś sam tworzy sprzęt, na którym gra, i występuje na jednej scenie z Krzysztofem Pendereckim i orkiestrami. Jego sytuacja jest komfortowa, bo nic nie musi już nikomu udowadniać (czy tak naprawdę kiedykolwiek musiał?). Nadal jednak robi swoje. Bez napinania się, prężenia muskułów i oglądania się na mody. Na dodatek robi swoje tak, jak nikt inny. Przekonuje o tym najnowszy, pierwszy od 13 lat studyjny longplay nagrany pod pseudonimem Aphex Twin. Nie ma na **Syro** ścigania się z trendami, nie ma wypłynięcia na głębokie wody eksperymentów ani prób dokonania następnego przewrotu w muzyce. Jest za to mnóstwo pierwszorzędných aphexowych dźwięków. Przestrzenne syntezatory, ustawione nieco w poprzek melodie, rytmika wahająca się od techno i hip-hopu, aż po breakbeat

APHEX TWIN	
SYRO	
minipops 67 (source field mix).....	120.2
XMAS_EVE10 (thanet03 mix).....	120
produs 28	101
4 bit 9d apl+e6.....	120.26
180h.....	130
CIRCLOTR8 (sycobonus mix).....	141.98
fr pseudotimestretch+3.....	138.85
CIRCLOTR14 (shyomymix mix).....	152.97
syro u4736+e (piezoluminescence mix).....	141.98
PAPA14 (papel mix).....	155
abScu1kewar10 (earth postal mix).....	163.97
elastane.....	102
London venue hire for planning meeting	
with international team.....	£0.00143
Promotion team in Germany.....	£0.00331
Outdoor poster in Italy.....	£0.00066
Refreshments and lunch for promo team	
album listening in Paris.....	£0.00043
Hotel in Seattle for album playback meeting.....	£0.00049
Postage costs for US radio promotion mailout.....	£0.00304
Packing CD and booklet.....	£0.00182
Website bandwidth costs.....	£0.00204
Venue and equipment costs for	
London listening event.....	£0.00163
Online advertising in Norway.....	£0.00099
Promotion and marketing team in Norway.....	£0.00166
Online advertising in Australia.....	£0.00338
Promo CDs for US press promotion.....	£0.00018
Hotel rooms for international label managers.....	£0.00311
Promo CDs for US radio promotion.....	£0.00184
A2 retail poster for Japan.....	£0.00035
Digitisation from tape archive copy of	
The Making of Windowlicker.....	£0.0009
Refreshments for NYC listening party.....	£0.00073
Other online advertising.....	£0.01426
Online advertising in Sweden.....	£0.00099
Print advertising including	
The Fader / Vice and others.....	£0.00357
CD-Rs for US radio promotion.....	£0.00035
Small ledger receipts for pre-orders	
at independent retail.....	£0.00365
Outdoor poster in Berlin / Cologne /	
Hamburg and other cities.....	£0.0265
Average distribution charge.....	£1.38308
Taxis for planning meeting day in London.....	£0.00057
Radio advertising in France.....	£0.01328



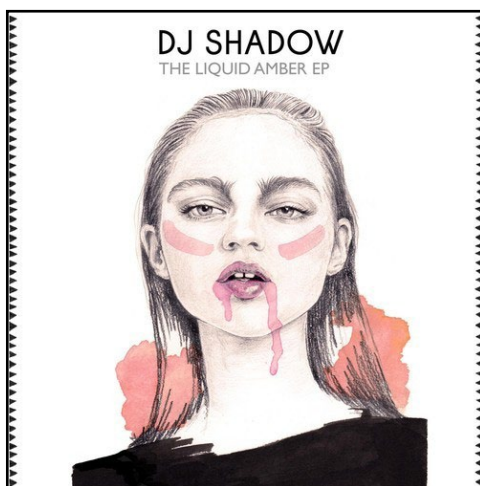
i jungle, ambientowe plamy, kwaśne wkręty, glitchowe odpryski oraz dziwaczne wokalne sample poszatowane z głosów samego Ryszarda i członków jego rodziny. Najbardziej zadowoleni będą fani serii **Analord** oraz dwóch znakomitych krążków zrealizowanych pod szyldem The Tuss, **Confederation Trough** i **Rushup Edge**. Największe rozczarowanie spotka zapewne tych, którzy oczekiwali drugiego **drukqs** czy trzeciego **Selected Ambient Works**. Jeśli ktoś spodziewa się przełomów, pozostaje kąpiel w Dunajcu. **Syro** to wielki powrót, a kto tego nie widzi, ten australopitek pitekantropus.

#bass music #hip-hop

DJ Shadow

The Liquid Amber EP

Pierwszy od trzech lat premierowy materiał Josha Davisa rozczarowuje. Zaledwie trzy utwory, w tym popołniorny przez Machinedrum remiks – i to najbardziej oczywistego kawałka Amerykanina – czyli **Six Days**. To przyzwolita przeróbka, utrzymana w stylistyce footwork/juke, ale dlaczego akurat ten utwór? Czy dlatego, że jest największym przebojem Shadowa? Pozostała dwójka jest, niestety, całkiem przeciętna. **Ghost Town** to ukłon w stronę trapu, utwór nawet kończy się wystrzałem rewolweru. Być może znów chodziło o koniunkturalizm. O **Mob** lepiej nie mówić, bo brzmi raczej jak zapis zmagania początkującego adepta sztuki samplingu, a nie utwór mistrza instrumentalnego hip-hopu i autora tak dziejowych płyt, jak **Endtroducing...**, **The Private Press** czy **Psyence Fiction** w ramach projektu



UNKLE. Davis ciągle kombinuje, jakby tu nie nagrać drugiej części genialnego debiutu. I dobrze, ale efekty nie powalają. I tak już od prawie dziesięciu lat. Quo vadis, Josh?

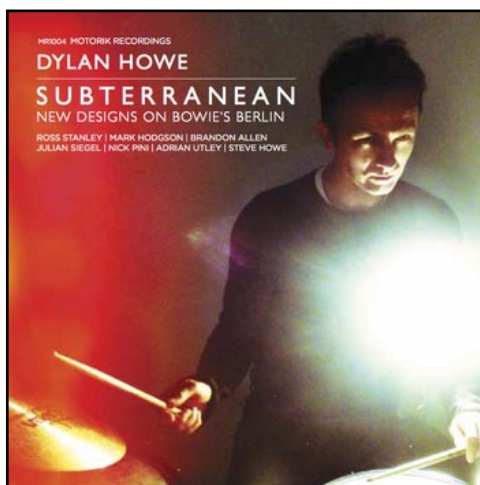
#jazz #tribute-album

Dylan Howe

Subterranean.

New Designs on Bowie's Berlin

Brytyjczyk Dylan Howe, syn gitarzysty Steve'a Howe'a (znanego z ośmiominutowych solówek granych w grupie Yes u boku Ricka Wakemana paradującego w nocnej koszuli), to utalentowany perkusista-samouk, który postanowił przerobić fragmenty przełomowej „Trylogii Berlińskiej” Davida Bowiego na modłę jazzową. Najwięcej utworów, bo cztery, zaczerpnął z pierwszej części tryptyku, **Low** – w tym niezapomnianą **Warszawę** napisaną pod wpływem pieśni **Helokanie** Stanisława Hadyny. Dwie kompozycje pochodzą z płyty „**Heroes**” i tylko finalna część trylogii, album **Lodger**, nie ma tu swojego przedstawiciela. Są za to przeróbki **All Saints** i **Some Are** – kawałków z tamtego okresu, które nie trafiły na ostateczne wersje albumów. Interpretacje bębniarza i towarzyszących mu instrumentalistów (wśród których jest nie tylko sławny tatko, ale i Adrian Utley, gitarzysta Portishead) są wierne oryginałom i zarazem pełne intrygujących improwizacji. Słysząc tu zarówno szacunek dla materiału wyjściowego, jak i wyraźny rys autorski. Howe udowadnia też to, czego dowiódł przed nim m.in. Philip Glass, który przed laty przerobił trylogię na minimalistyczne symfonie – muzyka



Bowiego jest absolutnie ponadgatunkowa i ponadczasowa.

#alt-rock #post-postpunk

Interpol

El Pintor

Tytuł piątego albumu Interpol to anagram nazwy zespołu oraz hiszpańskie określenia malarza. Co tym razem zmalowali nowojorczyści? Ano właśnie... anagram. Piosenki wypełniające **El Pintor** brzmią bowiem tak, jak te z czterech poprzednich płyt, zwłaszcza z ostatniej, zatytułowanej, uwaga, **Interpol**. Mają po prostu zmienione tytuły i akordy w innych konfiguracjach (co do tego drugiego nie jestem zresztą pewien, przynajmniej w niektórych przypadkach). Największa zmiana, jedna z niewielu i niekorzystna, to odejście basisty Carlosa Denglera. Brak jego charakterystycznie dudniącego szycia jest wyraźnie słyszalny. Paul Banks, który przejął jego obowiązki na czterech strunach, jest poprawny, ale nie ma pazura ani tej giętkiej funkowości. Dokładnie to samo można powiedzieć o całym albumie. Interpol tak bardzo stara się zdyskontować sukcesy z przeszłości, że jedyne, co osiąga, to wywołanie ochoty na powrót do dwóch pierwszych płyt. Zespół padł też ofiarą zawyżonych oczekiwań. Tyle że poza graniem w kółko tego samego nie robi zbyt wiele, żeby wyjść im naprzeciw. Aphex niby też nie nagrał niczego odkrywczego, ale jak to brzmi! Ale Aphex jest geniuszem. Paul Banks raczej nim nie jest, choć miewał momenty. Na końcu tego tunelu tli się jednak światełko – z każdą taką płytą oczekiwania



Skala ocen:

Space Ritual

Stairway To Heaven

To musi być miłość

Dusza diabłu sprzedana

Nadciąga noc komety

I Can't Get No Satisfaction

Welcome To The Jungle

Ta piosenka powstała dla pieniędzy

**

Mam tak samo jak ty

*

Kim jest człowiek,
jeśli nie człowiekiem tylko



maleją. Może nowojorczy, zanim znów osiągną wyżyny, muszą dotrzeć na dno i odbić się od niego. Jeśli tak, to do celu już niedaleko.

#breakcore #wszystcore

Venetian Snares

My Love Is A Bulldozer

Kolejna petarda od Aarona Funka – genialnego wizjonera najtwardszych odmian elektroniki. Samozwańczy surrealistą z Kanady rozpoczyna **My Love Is A Bulldozer** od jazzowych bębnow, do których po chwili dołącza kobieca wokaliza. Na wtoczenie ciężkiej artylerii nie trzeba długo czekać i już wkrótce **The 10th Circle of Winnipeg** przeistacza się w pędzącego na złamanie karku potwora, torując drogę reszcie uzbrojenia. Szybkie, połamane beaty napędzają wściekłe metalowe gitary, przestrzenne syntezatory przeplatają się z orkiestrowymi aranżami, tektoniczne basy ciągną w dół i podrzucają w górę, a w niemal połowie utworów słychać wokal Kanadyjczyka, który jest zapewne jednostką równie niezwykłą, jak muzyka, którą tworzy. No bo kto inny odważyłby się na teksty w stylu „Mój kutas jest tak twardy, że mógłby rozpaść się na pół” czy „Urodziłem się, by całować twoją twarz” melodeklamowane głosem psychologa? Dla równowagi – są tu również bardziej poetyckie chwile, jak np. w cudownym instrumentalu **She Runs**. Nic nie jest czarne ani białe, ale w tym wypadku nie mam wątpliwości – Weneckie Werble nadal grzmiały jak żadne inne, a wybijana przez nie breakcore’owa opera to arcydzieło.

Opracował: Maciej Kaczmarek



#metal #technikagłupcze #zimnymetal

Decapitated

Blood Mantra

Radujcie się siostry i bracia, kiedy któraś z polskich gwiazd metalu wydaje nową płytę, bo jak już to robi, to wszelkie ochy i achy są zasłużone. Po świetnych krążkach Behemoth i Vadera przyszła kolej na Decapitated (a to nie koniec w tym roku!).

Zespół dowodzony przez niezmordowanego Vogga, jednego z najlepszych fachowców technicznej metalowej gitary, wypuścił właśnie na polski rynek album **Blood Mantra** i za chwilę pojedzie w trasę po całym kraju, a potem powiedza ze swoim zimnym death metalem świat. Zawartość krążka zachęca, żeby wybrać się na koncert. Już sam początek, niepokojące dźwięki akordeonu (Vogg ukończył szkołę muzyczną grając na tym instrumencie), wieszczy, z czym będziemy mieli do czynienia. **Blood Mantra** to trzy kwadranse wojny o surowce, religię czy zrealizowaną ot tak z nudów. Otwierający album **Exiled in Flesh** to przede wszystkim niebezpieczny riff przetaczający się przez uszy słuchacza niczym eskadra bombowców. Potem jest tylko lepiej: **The Blasphemous Psalm to the Dummy God Creation** to jihad w wersji blitzkrieg, podczas gdy tytułowy **Blood Mantra** zaskakuje nowym dla Decapitated groove'em. Kilka nowinek w charakterystycznym brzmieniu zespołu będzie pewnie miało tyle samo zwolenników i przeciwników, co nie znaczy, że są kontrowersyjne. Death metal zwykł być



muzyką postępową, a Decapitated wywalają drzwi do postępu kopem z głana.

#metal #sludge #ciężariciśnienie

Spirit

Spirit (EP)

Spirit to ekipa poskładana z muzyków warszawskiego Vagitarians, które zdążyło sobie zdobyć publiczność, zanim przeszło do historii. W międzyczasie muzycy ci wkroczyli na nieco większe metalowe sceny. bo objęli etaty perkusisty i gitarzysty w Corruption, z którym zdążyli nagrać świetną płytę. Dzięki temu byłem bardzo ciekaw, co też Vincent Vega i Rutkoś nawyrabiali na boku, kiedy głównodowodzący Corruption nie patrzył. A pod szyldem Spirit nawyrabiali sporo bardzo fajnej muzyki.

EP-ka zatytułowana po prostu **Spirit** jest dostępna na bandcampowym profilu zespołu za kilka dolców, więc zaopatrzyć się w nią powinien każdy, kto gustuje w muzyce ciężkiej, dusznej i nieoczywistej. W czterech utworach nie znajdziemy alkoholowej radości Corruption, a raczej klimat z Gojiry połączony z desperacją, świetnymi aranżacjami i wysokimi umiejętnościami poszczególnych muzyków. Warto mieć tę formację na oku.



#metal #prostowtwarz #hardcore

Lostbone

Not Your Kind

Lostbone to jeden z tych zespołów, które zyskują sobie publiczność przede wszystkim częstymi koncertami, bo scena to ich żywioł. Dotychczas nie byłem wielkim fanem studyjnych poczynąń grupy, ale **Not Your Kind** może to zmienić.

Lostbone płynnie miesza u siebie wszystko co ciężkie, agresywne i ostre. Efekty są bardzo dobre – **Not Your Kind** zawiera 12 utworów, pośród których nie ma czasu na złapanie oddechu. Szybkie numery będą koncertowymi pewniakami, te wolniejsze nadrabiają za to ciężarem. Już rzut oka na tracklistę da nam pojęcie, o co Lostbone chodzi. Tytuły takie jak **Into the Pit, Through Hell We Rise, Pathetic, Fuck This** czy **No Religion** pokazują, że zespół jest w swojej muzyce dość bezpośredni, jak również wskazują inspirację Warszawiaków. Na szczęście na **Not Your Kind** poprawiło się to, co wcześniej mnie w Lostbone irytowało. Wokale Bartona w końcu brzmią jak powinny. Jest odpowiednio brutalnie i melodyjnie, kiedy trzeba – wcześniej wokalista próbował być bardziej brutalny niż pozwalał mu na to głos. Tutaj głos i intencje idą razem, za co plusik od recenzenta. Ciekawostką jest gościnny udział kilku nazwisk znanych rodzimym fanom ciężkich brzmień: Titusa z Acid Drinkers, Lipy z Illusion i Lipali, Darona z Frontside, Kosy z Made of Hate czy Pacha z Huge Ccm i Vedonist.



#dym #doom #bród #smród

Bitchcraft

Bitchcraft (EP)

Bitchcraft to jeden z tych zespołów, które nigdy nie będą na świeczniku. Ich twórczość jest powolna, zadymiona, brudna i pełna przysłowiowego szatana. Ktoś, kto nie jest wtajemniczony w meandry stylistyki, mógłby stwierdzić, że EP-ka **Bitchcraft** jest po prostu nagrana w garażu na kaseciaku pamiętającym lata świetności Pet Shop Boys, ale tak nie jest. Bitchcraft muszą grać brudno i wolno, głos wokalistki musi rozbrzmiewać jakby zza wieka trumny, a riffy obowiązkowo muszą być trytonowe, bo tryton to w końcu diabeł w muzyce. Cztery długie, powtarzalne do znudzenia (jak na doom metal przystało) kawałki, którym towarzyszy jadowita kolorystycznie szata graficzna z obowiązkowymi bohaterami w postaci rudej wiedźmy i diabła, sprawiają, że Tony Iommi pięknie z dumy.

Opracował: *Jakub Milszewski*

#elektronika #pop #Wielka Brytania

La Roux

Trouble In Paradise

Gdy w 2010 roku zakończyło się pierwsze duże tournée La Roux, wizerunek Elly Jackson mógłby spokojnie pojawiać się na opakowaniach kartonów od mleka z podpisem „Czy widziałeś tę dziewczynę? Zgłoś nam to!”. Na szczęście po pięciu latach nieobecności rudowłosa osóbką dała znaki



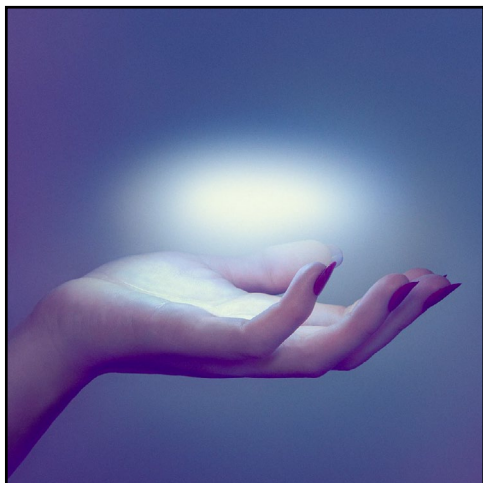
życia. I to całkiem wyraźne. A przybrały one formę dziewięciu roztańczonych, słonecznych i pełnych optymizmu kompozycji. Jackson po raz kolejny z nieukrywaną satysfakcją sięga po synth-pop początku lat 80 i przerabia go na własną, specyficzną formułę, która tym razem została ubarwiona post-punkową motoryką i ultra-popową przebojowością. Dla bywalców modnych nocnych klubów **Trouble in Paradise** to po prostu pozycja obowiązkowa.

#indie rock #gitary #spoon

Spoon

They Want My Soul

Ósmą płytę w karierze amerykańskiego zespołu zapowiadał wypuszczony pod koniec lipca singiel **Inside Out**. Intrygująca partia harfy, hipnotycznie uwodzący beat, wzorowo poprowadzona melodia – tak, apetyty zostały mocno pobudzone. Dodatkowego zamieszania narobiły również różne audio-wizualne zajawki, które indie-popowe kapela serwowała od czasu do czasu swoim fanom. No i w końcu nadszedł czas na danie główne, czyli album **They Want My Soul**. Jak na prawdziwych mistrzów muzycznej kuchni przystało, Spoon przyrządził – po raz kolejny zresztą – przepyszne danie, a w zasadzie 10 dań, które podawane jedno po drugim, zniwalają swoim wyszukanym smakiem, zmysłowym aromatem i nęcącym wyglądem. Zestaw to iście eklektyczny – obok klasycznych gitarowych kawałków w stylu **Rent I Pay** czy **Rainy Taxi** pojawia się elektroniczno-futurystyczny **New York Kiss** z bujają-



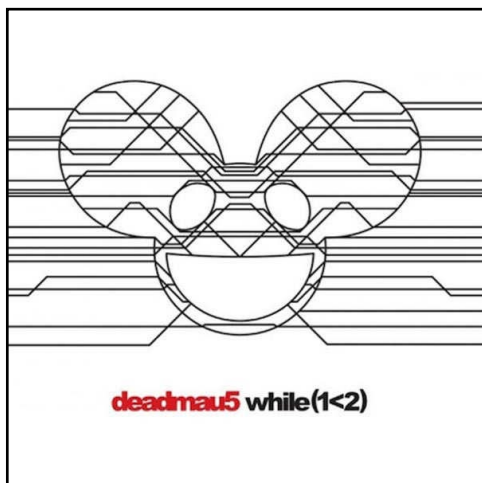
cym groove'em, post punkowy **Outlier** z przestrzennymi klawiszami w tle czy lekki, przyjemny i roztańczony **Do You**. Można śmiało powiedzieć, że mamy do czynienia z najlepszym longplayem Spoon od czasów **Kill The Moonlight** wypuszczonego 12 lat temu. Na liście obowiązkowych rzeczy do przesłuchania wpiszcie sobie koniecznie ten tytuł.

#elektronika #eksperyment

Deadmau5

while (1<2)

Kanadyjczyk Joel Zimmerman, aka Deadmau5, w ciągu kilku lat burzliwej kariery zdążył ugruntować swoje nazwisko jako jednego z czołowych producentów i DJ-ów na świecie. Właśnie wrócił z podwójnym wydawnictwem, które ukazuje tego niezwykłego muzyka w nietypowy sposób. **1<2** to rozległa i ambitna podróż po wszystkich aspektach „Deadmau5owego” świata – glitch, electro house, techno, industrial – wszystkie te gatunki mieszają się w gorącym tyglu Zimmermana. Jednak nie ma już tej parkietowej energii jak wcześniej. Pojawił się za to mrok i niepokój. Artysta przyznaje, że duży wpływ na jego obecną twórczość ma Trent Reznor z NIN i rzeczywiście da się to wyczytać z 25 pozycji zgromadzonych na **1<2**.



#metal #industrial

Godflesh

Decline & Fall

Godflesh to bezapelacyjnie jeden z najważniejszych bandów w historii muzyki ekstremalnej. Potężne gitarowe ściany dźwięku, wściekły wokal i zdehumanizowana w swojej prostej formule mechaniczność – tak w skrócie można opisać brzmienie i zarazem znak rozpoznawczy brytyjskiego duetu stworzonego przez Justina Broadricka i G.C. Greena. Lata 90. należały całkowicie do nich. Później nastąpiła dłuższa przerwa, podczas której panowie zajęli się swoimi własnymi projektami. Teraz obaj powracają ze wspólną EP-ką ***Decline & Fall*** zapowiadającą album ***A World Lit Only By Fire***, który ma ukazać się jesienią tego roku. Z czym mamy dokładnie do czynienia? Z czterema monumentalnymi, brutalnymi, ociekającymi gorącą, gęstą magmą utworami, które z gracją i subtelnością walca miażdżą wszystko na swojej drodze. Automat perkusyjny niczym włączony na pełną moc młot pneumatyczny wystukuje monotony rytm, w którym można się całkowicie zatracić, a gitara wespół z basem wciśkają w ziemię i nie pozwalają się z niej nawet na chwilę podnieść. I tak przez ponad 20 minut. A więc stary dobry Godflesh? A jakże! I to w najlepszej odsłonie. Aż strach pomyśleć, co się będzie działo na długogrającym krążku...

Opracował: Kamil Downarowicz



How I met Pink Floyd

Każda reaktywacja tej grupy zawsze jest zaskoczeniem. Gdy wszyscy już tracą nadzieję na jakąkolwiek aktywność pod szyldem Pink Floyd, nagle pojawia się informacja o wspólnym występie lub nagraniach – jednak często już po fakcie. Tak stało się i tym razem, gdy 5 lipca Polly Samson – żona Davida Gilmoura – wspomniała na Twitterze: „Btw Pink Floyd album out in October is called **The Endless River**”. I nie wiadomo, czy celowo nie napisała „new album”, bo materiał niestety nie będzie nowy. Ma pochodzić z sesji nagraniowych do dotychczas ostatniego krążka zespołu **The Division Bell**. Na nowej płycie usłyszymy trzech Floydów, w tym nieżyjącego już klawiszowca Ricka Wrighta. Jednak jak do tego wszystkiego doszło, opowiem niczym w **How I Met Your Mother** – od samego początku...



The Piper At The Gates of Dawn

1967

The Piper At The Gates Of Dawn

W sąsiednim studiu kompleksu Abbey Road dobiegały końca prace nad **Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band** grupy The Beatles. Tymczasem zamroczony narkotykami Syd Barrett siedział na podłodze i godzinami improwizował kolejne gitarowe zagrywki. Producent Norman Smith nie do końca był skłonny zrozumieć zamierzenia artystyczne Geniusza. Mimo wszystko powstało dzieło niezwykle, zaskakujące słuchacza nawet w dzisiejszych czasach.



Zespół w początkowym składzie

Pobudzona dźwiękami wyobraźnia buduje niezwykle pejzaże. Psychedeliczne projekcje obrazów z **O czym szumią wierzy** Kennetha Grahame'a – to w nawiązaniu do tej książki powstał tytuł krążka. Płytę otwiera nieśmiertelna, bo grana przez Pink Floyd na koncertach z przerwami aż do ostatniej trasy **p.u.l.s.e**, kompozycja **Astronomy Domine**. Piosenka uznana za pionierską w dziedzinie tzw. space-rocka była, obok **Interstellar Overdrive**, niewyczerpanym źródłem inspiracji dla wielu artystów. Ta druga kompozycja to prawie dziesięciminutowa suita oparta na prostym riffie, lecz ozdobiona przemysłnymi improwizacjami. Pierwsze pomysły Rogera Watersa to przede wszystkim inicjatywa dla utworu **Pow R. Toc H.**, który jest muzyczną ilustracją stanu odurzenia marihuaną. Nazwi-

skiem Rogera podpisany jest również utwór **Take Up Thy Stethoscope And Walk**, którego tytuł jest parafrazą słów Jezusa „weź swe łoże i idź” (Łk. V 24). Między melodyjną opowieścią o hobbicie Bilbo Bagginsie – **The Gnome** – a jednym z pierwszych singli Pink Floyd – **Scarecrow** – znajdujemy tajemniczą kompozycję **Chapter 24**. Słowa do tego utworu pochodzą z opisu 24 heksagramu chińskiej księgi-wyroczeni **I-Cing**. Ostatnim utworem jest **Bike**. To humorystyczne, młodzieńcze wyznanie miłości zakończone szyderczym i obłąkanym śmiechem.

Ta płyta to seria zagadek. Często możemy się tylko domyślać zamierzeń Syda i kolegów. Nie zakłóca to jednak przyjemności wsłuchiwania się w te niesamowite dźwięki. Nie do wiary, co stworzyła grupa młodych studentów.

A Saucerful Of Secrets

Od premiery pierwszej płyty minął zaledwie rok, który okazał się bardzo ważnym okresem dla zespołu. W tym czasie narkotyczne eksperymenty Syda zawałyły kolejne występy. Klapą okazała się trasa z Jimim Hendrixem i kilkoma czołowymi grupami, m.in. The Nice, którego gitarzystą, David O'List, ratował występy Floydów, zastępując Syda. Nic dziwnego, że zaczęto rozglądać się za nowym „śpiewającym gitarzystą”. Wybór padł na Davida Gilmoura – dawnego przyjaciela Syda. Wprawdzie we wkładce albumu umieszczono nazwisko Syd Barrett, jednak nie możemy z pewnością stwierdzić, ile rzeczywiście wniósł do nowego materiału. Mimo wszystko nie podlega wątpliwości, kto tak naprawdę nadał kierunek twórczości Pink Floyd.

Ta płyta jest może nieświadomą, lecz naturalną kontynuacją *The Piper At The Gates Of Dawn*. *Spodek pełen tajemnic* wydaje się wręcz nazwą od-

powiednią. Tajemniczość tytułowego utworu zostaje podkreślona brakiem lirycznego wokalu. Pod koniec utworu występuje jedynie krótka wokaliza, która kojarzy się z późniejszą suitą *Atom Heart Mother*. Sami muzycy przyznali po latach, że właśnie kompozycja *A Saucerful Of Secrets* inspirowała ich w dalszej twórczości. To od niej można wykreślić linię prostą przechodzącą przez wspomniane *Atom Heart Mother*, następnie *Echoes*, aż do *The Dark Side Of The Moon*.

Drugim utworem, który zapisał się na kartach historii zespołu jako niezwykle istotny, jest *Set The Controls For The Heart Of The Sun* pomysłu Watersa. Jeszcze w latach 2000 i 2002 Roger wykonywał ten utwór na solowych koncertach. Jest to również następne nawiązanie w twórczości Pink Floyd do literatury starochińskiej. Kolejne wersy zostały zaczerpnięte z różnych wierszy pochodzących z okresu panowania dynastii Tang. Całość złożyła się na historię pilota statku kosmicznego, który, ulegając skłonnościom autodestrukcyjnym, ustawia tor lotu pojazdu prosto w Słońce. Możliwe jest również, że to jedyny utwór, w nagraniu którego wzięła udział cała piątka Floydów, w tym zarówno Syd, jak i Dave.

Ten krążek wydaje się mało spójny wewnętrznie. Całość brzmieniowa, koncepcyjna i liryczna jest tak samo niesprecyzowana, jak zespół i jego skład w tym okresie. Jednak jest to niezwykle istotny krok do przodu. Dowód samodzielności po utracie lidera i jednocześnie pożegnanie z nim.



A Saucerful Of Secrets



Jedno z nielicznych zdjęć Pink Floyd z dwoma gitarzystami



More

Francuski reżyser Barbet Schroeder zaproponował Pink Floyd całkiem spore wynagrodzenie za stworzenie muzyki do filmu **More**. Jak wspomina David Gilmour, pozwoliło to po raz pierwszy zarobić muzykom więcej niż technicznym. Mimo licznych zobowiązań koncertowych w tamtym okresie zespół znalazł tydzień, aby zarejestrować wymagany soundtrack. Z powodu szybkiej organizacji sesji nie zdołano zaprosić do studia Normana Smitha, ani żadnego innego realizatora, dzięki czemu otrzymaliśmy pierwszy krążek „produced by Pink Floyd”, co – jak się okazało – miało przejść do zwyczaju zespołu.

Być może właśnie wtedy Roger stał się liderem grupy. To on tak naprawdę przygotował na tę płytę piosenki (np. **Green Is The Colour**, **Cymbaline**), podczas gdy reszta zespołu ograniczyła się do instrumentalnych impro-

wizacji i kolaży dźwiękowych. Na albumie panuje straszny chaos, nawet gatunkowy. Od awangardowo-jazzowych eksperymentów (**Up The Khyber**) przechodzimy od delikatnych ballad (**Crying Song**), bluesa (**More Blues**), aż do hard rocka (**The Nile Song**). Całość okazała się nieświadomym strzałem w dziesiątkę. Oprócz zaskakującej popularności, jaką zdobyła płyta, muzykom udało się coś ponadto – stworzyli dźwiękowe ilustracje idealnie pasujące do scen filmowych, a nawet momentami je uzupełniające. Panuje opinia, że ta muzyka dużo lepiej prezentuje się w filmie niż na płycie. I chociaż film został już dawno zapomniany, to muzyka jest nadal żywa.

Pozostała jeszcze kwestia pamiędzy wymową filmu, a historią Barretta. Obraz wprawdzie potępił tzw. twarde narkotyki, lecz jednocześnie zachęcał do używania marihuany oraz LSD. To drugie często było uważane za niegroźne, jednak zespół pamiętał przygody Syda z tym narkotykiem. Możliwe, że muzycy nie byli jeszcze wtedy w pełni świadomi tego, co działo się z ich kolegą, a prace nad **More** potraktowali jako zwyczajny i przede wszystkim dobry zarobek.





Pełne instrumentarium zespołu wraz z technicznymi



Ummagumma

To być może najdziwniejszy projekt w historii grupy. Za tytuł posłużyło slangowe określenie stosunku płciowego zasłyszane jeszcze w Cambrigde, chociaż Nick Mason zastrzega, że nazwa została wybrana przede wszystkim ze względu na intrygujące brzmienie tego słowa.

Wydawnictwo składa się z dwóch płyt. Pierwsza zawiera koncertowe wersje dobrze znanych już kompozycji: ***Astronomy Domine***, ***Careful With That Axe, Eugene***, ***Set The Controls For The Heart Of The Sun*** oraz ***A Saucerful Of Secrets***. Są to wykonania bardziej rozbudowane i urozmaicone w porównaniu z wersjami studyjnymi. Znany brytyjski dziennikarz John Peel recenzując jeden z występów, który wykorzystano na płycie, porównywał zagrany w nim muzykę do „krzyków umierających galaktyk zagubionych w stromych korytarzach czasu i przestrzeni” – nie znajdziemy trafniejszego określenia.



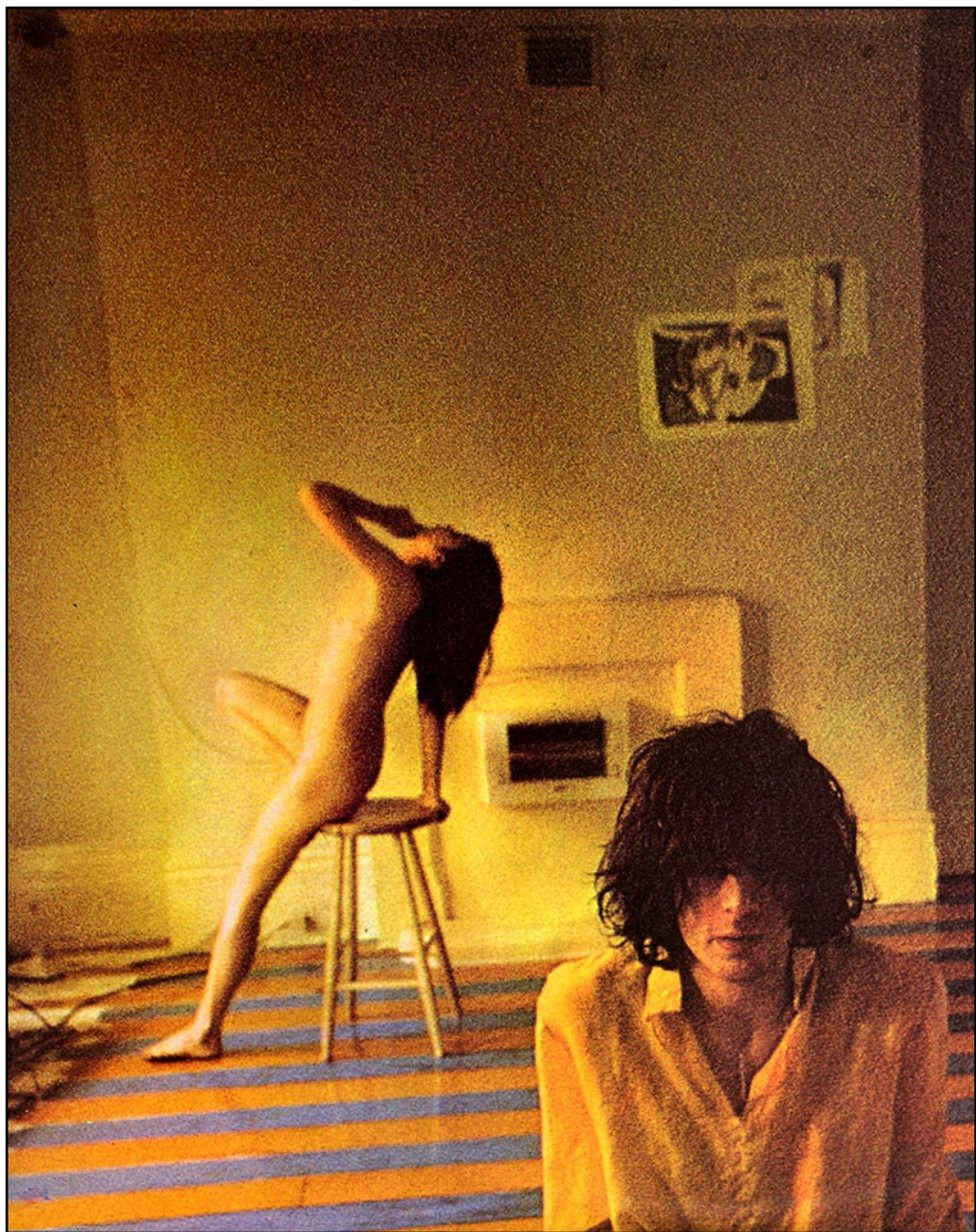
Ummagumma

Równie interesująca jest zawartość drugiej płyty. Znajdują się tu solowe kompozycje każdego z członków zespołu. Pierwszą jest czteroczęściowa kompozycja Ricka Wrighta pt. ***Sysyphus***. Jest to niezwykle, pełen patosu i zamierzonego efekciarstwa kolaż różnych brzmień i instrumentów. Roger Waters zaproponował dwa utwory – ***Grantchester Meadows*** oraz pomysł o najdłuższym w dziejach zespołu tytule ***Several Species Of Small Furry Animals Gathered Together In A Cave And Grooving With A Pict***. Ten drugi wydaje się niewinną zabawą z przyspieszaniem taśmy i dodawaniem pogłosu. W tamtym czasie taka technika mogła być niezwykle istotna dla autora – wystarczy przysłuchać się nieco późniejszemu soundtrackowi do filmu ***The Body***, na którym Waters szeroko korzystał z tego rodzaju efektów. David Gilmour okazał się w tej sytuacji człowiekiem-orkiestrą. W taki sposób samodzielnie zarejestrował kolejne partie instrumentalne, że wydaje się, jakby grał w tym utworze cały zespół. ***The Narrow Way*** to również jego debiut liryczny. W czasie powstawania tego utworu Dave wraz z Rogerem pomagali Barrettowi w nagraniu jego pierwszej solowej płyty ***The Madcap Laughs***. Ten fakt podpowiada nam, że tekst kompozycji Dave'a opowiada właśnie o Sydzie i jego walce z własnymi „koszmarami”.

Koncepcja płyty okazała się dla Nicka Masona jedyną okazją do wydania utworu będącego wyłącznie jego pomysłem (***The Grand Vizier's Garden***). On sam nigdy nie miał ambicji kompozytorskich. Z perspektywy czasu stwierdził, że ta kompozycja, jak i reszta eksperymen-

tów z **Ummagummy**, nigdy nie powinna trafić na płytę. Byłaby to wielka strata. Może ten album nie jest perfekcyjny ani

w żadnym stopniu przełomowy, lecz jakże skromniej wyglądałaby dyskografia Pink Floyd bez **Ummagummy**.



Tyt okładki solowej płyty Syda pt. *The Madcap Laughs*

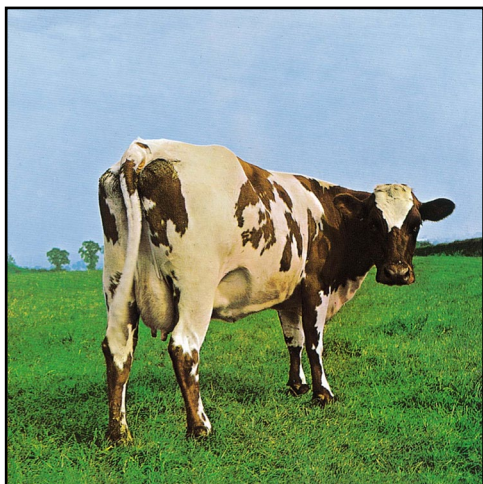


1970

Atom Heart Mother

Matka o atomowym sercu, a na okładce krowa beznamiętnie patrząca na słuchacza. Na płycie wita nas tytułowa, prawie 24-minutowa suita z udziałem chóru i sekcji instrumentów dętych. To właśnie nowe instrumentarium zmusiło zespół do zaproszenia osoby z zewnątrz (sami nie byli w stanie poradzić sobie z aranżacją skomplikowanych partii chóru i dęciaków). Tym człowiekiem był Ron Geesin – twórca z kręgu szalonej awangardy, z którym zwłaszcza Nick i Roger utrzymywali stosunki koleżeńskie.

Okazało się, że ten artysta miał więcej do powiedzenia na temat głównej kompozycji, niż to grupa planowała. Trudno dokładnie oceniać jego wkład, ale wiadomo, że to on pracował samotnie w studiu, gdy grupa koncertowała po całej Europie. To właśnie on z prostego, przypominającego motyw ze starego westernu, układu riffów Gilmoura stworzył wielką, pełną patosu



Atom Heart Mother

i nieprzewidywalną konstrukcję miliona dźwięków. Jemu zawdzięczamy strukturę i brzmienie całości. To on musiał użerać się z muzykami sesyjnymi. Po latach wspominał: „Ludzie grający na instrumentach dętych potrafią być bandą bezlitosnych skurwieli...”. Wreszcie jego głos słyszymy w dziewiętnastej minucie i ósmej sekundzie nagrania, gdy napomina wspomnianych muzyków: „Cisza w studiu!”.

Co do tytułu kompozycji, jak i całego krążka, to według opowieści związany jest z nim dziennikarz John Peel, który podrzucił Watersowi wydanie **Evening Standard** z 16 lipca 1970 r., mówiąc: „Założę się, że znajdziesz odpowiedni tytuł tutaj”. Wewnątrz miał znajdować się artykuł pt. **Matka o atomowym sercu (Atom Heart Mother)** opowiadający o matce pięciorga dzieci, której wszczepiono stymulator serca zasilany energią atomową, co też miało niezwykle spodobać się Rogerowi. Historia ta wydaje się niewiarygodna i taka też jest, jak dowiódł pewien fan prowadzący stronę internetową o zespole. Zadał sobie trud przejrzenia brytyjskich gazet z tego dnia i jedyne co znalazł to artykuł w The Times, którego tytuł brzmiał **Zasilanie nuklearne kobiecego serca (Nuclear Drive For Woman's Heart)**, i co istotne, nie było w nim mowy o żadnym potomstwie. Wynika z tego, że owszem inspiracją był artykuł prasowy, lecz to Roger nadał tytułowi ostateczny kształt i znaczenie.

Jego autorstwa jest następny utwór na płycie. Przeciętnej długości piosenka **If** kontrastuje z poprzedzającą ją suitą przede wszystkim za sprawą delikatnej gitary akustycznej



i nadzwyczaj subtelnemu akompaniamentowi zespołu. W ogólnym zarysie tekst opowiada o utraconej przyjaźni, co jest wyraźnym nawiązaniem do sytuacji między Rogerem a Sydem. Zwłaszcza znamienne wydają się być poruszające słowa: „A gdybym był szalony, czy nadal mógłbym uczestniczyć w grze?”. Przypomnieć należy, że to właśnie Waters wykluczył z gry chorego na schizofrenię przyjaciela. Następna kompozycja jest autorstwa Wrighta. **Summer ,68** opowiada o doświadczeniach z trasy po Stanach Zjednoczonych. Autor wspomina to następująco: „Latem 1968 roku grupies były wszędzie. Spadały z nieba i zajmowały się tobą jak służące, robiły ci pranie, spały z tobą i zostawiały z porcją syfa”. Utwór jest poetycką i niezwykle urozmaiconą w warstwie

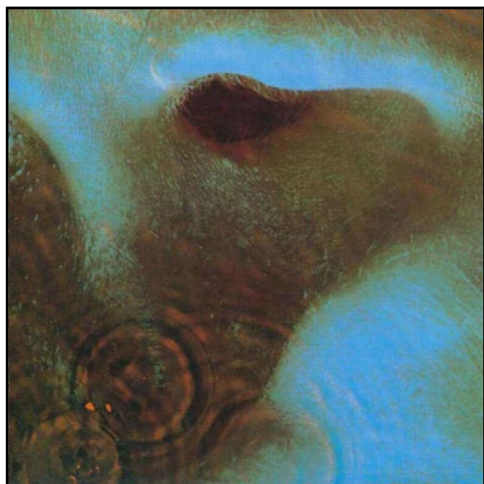
muzycznej opowieścią o dziewczynach, do których „mówimy żegnaj, zanim zdążyliśmy powiedzieć sobie witaj”. Poprzez propozycję Gilmoura **Fat Old Sun** przechodzimy do końcowej kompozycji pt. **Psychodeliczne śniadanie Alana (Alan's Psychedelic Breakfast)**. To w sumie zabawa nagrana dla zapełnienia miejsca na płycie. Podstawą są zarejestrowane odgłosy kuchenne znane nam z codziennego porannego śniadania: kapanie wody, odpalanie gazu, smażenie jajek – te niestandardowe dźwięki uzupełnione zostały lekkimi i łatwostrawnymi melodyjkami. Końcowe odgłosy kapania wody na edycji winylowej zostały zapisane w sposób szczególny – ostatni rowek płyty był głębiej wyłobiony i krople spadały w nieskończoność, dopóki ktoś nie wyłączył adaptera.

Meddle

Muzycy właściwie nie mieli żadnego konkretnego projektu. Zasiedli w studio zupełnie nieprzygotowani, lecz udało im się stworzyć 24 luźno ze sobą połączone motywy, które następnie złożyły się na kompozycję określaną żartobliwie **Nothing – parts 1-24**, a ostatecznie nazwaną **Echoes**. Montażu dokonano na niezwykle nowoczesnych wówczas magnetofonach szesnastośladowych, co pozwoliło np. Gilmourowi na mistrzowskie aranżacje partii kilku gitar. Kompozycja okazała się wyśmienitą, niezwykle barwnym efektem prawie półrocznego wspólnego wysiłku wszystkich członków zespołu.

Płytę rozpoczyna **One Of These Days** grane na żywo przez zespół praktycznie do ostatniej trasy **p.u.l.s.e.** Demoniczne partie dwóch gitar basowych zapisują się na stałe w pamięci już po pierwszym przesłuchaniu. Niezwykłe ciekawa kompozycja i niesamowita solówka zagrana na starej dwugry-

fowej pedal steel guitar Fendera. Za niesamowite brzmienie odpowiedzialny jest mały prymitywny monofoniczny syntezator VCS 3, który w rękach Rogera był narzędziem nieprzewidywalnym. Po tym mocnym uderzeniu następuje śliczna, niepozorna i delikatna ballada **A Pillow Of Winds** z przepięknymi wielośladowymi efektami wokali i gitar. Zakończeniem **Fearless** jest odśpiewany przez fanów drużyny piłkarskiej FC Liverpool fragment ich hymnu – piosenki **You'll Never Walk Alone**. Stanowiło to niezwykle dopełnienie utworu opowiadającego o strachu przed światem i tłumem oraz o ogólnym zagubieniu człowieka. Pozostały dwie drobnostki – miłe dla ucha, lecz mało znaczące **San Tropez** Rogera oraz banalny blues pod nazwą **Seamus**. Ten ostatni utwór byłby kompletnie niewart wzmianki, gdyby nie pewien nietypowy gość – pies Steve'a Marriotta (lidera The Small Faces). Gilmour opiekował się nim w czasie nieobecności właściciela i wtedy zauważył niezwykle zdolności wokalne kundelka imieniem Seamus. Grupa postanowiła to wykorzystać i na poczekaniu stworzyła kompozycję, w której zaśpiewał pies.



Meddle





W tym samym roku ukazała się składanka pt. *Relics*



Obscured By Clouds

Największe dzieło grupy, suita **The Dark Side Of The Moon**, istniało już i było przedpremierowo grane na koncertach, gdy zespół zdecydował się zarejestrować jeszcze jedną płytę z nowym materiałem. Krążek jest kolejnym (drugim po **More**) efektem współpracy z francuskim reżyserem Barbetem Schroederem, który zaproponował grupie nagranie muzyki do filmu **La Vallee** (polski tytuł: **Dolina**). W tym celu zaprosił członków zespołu do Strawberry Studios, mieszczącego się w pałacyku Chateau d'Herouville (dawniej miejsce pobytu Fryderyka Chopina) studia nagraniowego. Na miejscu była sala bilardowa, basen i piwnica pełna win – warunki do pracy były więc odpowiednie.

Głównym motywem tytułowej kompozycji jest efekt zabawy Gilmoura na syntezatorze VCS 3, której towarzyszy wprowadzająca w trans delikatna sekcja rytmiczna. **When**



Obscured By Clouds

You're In jest właściwie kontynuacją i rozbudowaniem kompozycji głównej. Dopiero przy **Burning Bridges** mamy do czynienia z prawdziwą piosenką, w której udział wziął cały zespół. Tytuł **Free Four** stanowi wolną parafrazę początkowego odliczania „one, two, three, four”, co świadczyć może, jeśli nie o lekceważącym podejściu Rogera do swojego utworu, to chociażby o luźnej atmosferze, jaka panowała w trakcie sesji nagraniowej. Ostatni utwór **Absolutely Curtains** byłby idealnym wstępem do większej suit, która mogłaby okazać się dużym sukcesem. Tymczasem utwór urywa się w połowie czwartej minuty i ostatnie co słyszymy, to tajemniczy śpiew członków plemienia Mapuga z Nowej Gwinei.

Krążek nie zabija efektywnością ani perfekcją. Jest wręcz odwrotnie – mamy tu ogromną dawkę wyjątkowo luźnego, jak na Pink Floyd, podejścia do muzyki. Jedno jest pewne. Po czekającym na grupę sukcesie perfekcyjnie dopracowanego **The Dark Side Of The Moon**, taka płyta nie miałaby już prawa się ukazać.



Tylko zespół, kamery i ruiny amfiteatru w Pompejach



The Dark Side Of The Moon

Ten album to historia muzyki rockowej. Najprawdopodobniej najważniejszy w dorobku grupy. Owszem, nie ma tu błogich, delikatnych partii gitary jak w ***Shine On You Crazy Diamond*** z ***Wish You Were Here***. Nie ma tu również koncepcji na miarę ***The Wall***. Co właściwie jest tu najważniejsze – trudno określić. Może teksty Rogera, genialne melodie, linie wokalne i partie instrumentów, perfekcyjny montaż, całościowa koncepcja i jej realizacja. Taki opis brzmi sucho, ale gdy staje się piękną muzyką, gdy nie pojmujemy geniuszu jej twórców, to staje się ideałem, w którym nie potrafimy znaleźć słabego momentu. Bicie serca, tykanie zegara, krzyk – takie odgłosy wprowadzają nas na ciemną stronę księżyca. „Oddychaj głęboko...” (tymi słowami rozpoczyna się ***Breathe***), bo przed tobą trzy kwadranse największych muzycznych przeżyć.

On The Run to dziwny twór narodzony z syntezatorów, brzmieniowo



The Dark Side Of The Moon

nieprzypominający niczego z dorobku grupy, a jednak wyśmienicie prezentujący się w tym miejscu płyty. Pędzące bliżej nieokreślone dźwięki to ilustracja naszego tempa życia i zapewne jednocześnie upływającego czasu, o którym szerzej w następnej kompozycji ***Time***. Piosenka ta rozpoczyna się szalonym biciem dzwonów, dzwoneczków i dzwoneczków – ten piękny i początkowo wstrząsający dźwiękowy kolaż jest autorstwa Alana Parsona (później lidera Alan Parsons Project), realizatora dźwięku w Studio B na Abbey Road. Muzycy często zostawiali go samego z niedokończonym materiałem, zwłaszcza gdy w telewizji leciał mecz piłki nożnej lub odcinek ***Latającego Cyrku Monty Pythona***. Wtedy Alan brał sprawy w swoje ręce, a Floydom przedstawiał gotowe propozycje. Jest on również odpowiedzialny za jakże istotne na tym albumie brzmienie. To właśnie jemu udało się osiągnąć kompromis między ostrym i energicznym zacięciem, a łagodną i delikatną harmonią. ***The Great Gig In The Sky*** było właściwie niczym niewyróżniającą się melodią Wrighta, dopóki w studiu nie pojawiła się piosenkarka Clare Tory. Swą wokalizą nadała temu utworowi wręcz magiczną otoczkę. Z kolei ***Money*** wpada w ucho już po pierwszym takcie. Wykorzystany w piosence basowy riff nie był całkiem nowy. Powstał już w 1969 roku, gdy telewizja BBC zamówiła u Pink Floyd muzykę do zilustrowania lądowania człowieka na Księżycu. Nic dziwnego, że ten motyw musiał zostać użyty na jego ciemnej stronie. Tutaj również słyszymy coś zupełnie nowego dla Pink Floyd, a mianowicie saksofon. Zagrał na nim przy-



Klatka z koncertowej animacji do utworu *Time*

jacieli grupy Dick Parry. Zaproszenie tego zupełnie nieznanego i mało profesjonalnego muzyka było pomysłem Gilmoura. Okazało się to strzałem w dziesiątkę. Fachowy muzyk sesyjny nie zagrałby w tak surowy sposób.

W muzykę wplecione zostały wypowiedzi pracowników Abbey Road i muzyków akurat tam przebywających. Pewnego dnia Roger napisał na kartkach około dwudziestu pytań i rozwił je po całym studiu. Były one bardzo różnorodne, przykładowo: „Co znaczą dla ciebie słowa: ciemna strona Księżyca?”, „Kiedy ostatni raz zachowałeś się gwałtownie?”. Wpuszczani do środka ludzie przechodzili od pytania do pytania, odpowiadając po kolei na każde z nich. Wśród tych osób był m.in. Paul McCartney i cała formacja Wings. Byli

oni jednak zbyt ostrożni i nieufni, aby powiedzieć coś ciekawego i godnego wykorzystania na płycie. Najciekawsze kwestie wyszły z ust portiera Jerry'ego Driscolla, który wypowiedział kluczowe dla płyty słowa: „Zawsze byłem szalony. Szalony jak większość z nas...”, „Tak naprawdę nie ma żadnej ciemnej strony Księżyca. W rzeczywistości on cały jest ciemny...”.

Mało by brakowało, a płyta nosiłaby zupełnie odmienny tytuł (***Eclipse – A piece For Assorted Lunatics***), bowiem w tym samym czasie grupa Medicine Head nazwała swój krążek dokładnie tak samo, jak planowali Floydzi. Na szczęście ich płyta okazała się strasznym niewypałem i zespół mógł spokojnie powrócić do intrygującej nazwy ***Ciemna strona Księżyca***.

Wish You Were Here

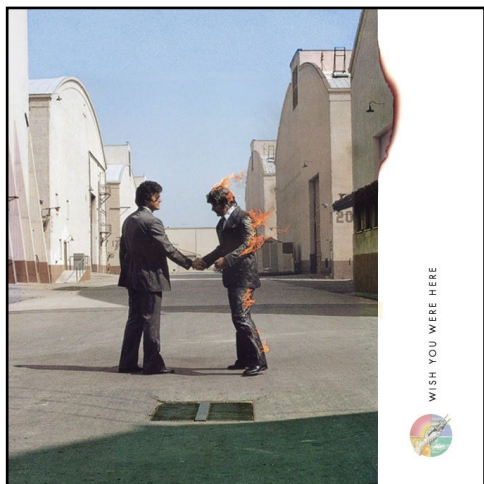
Po sukcesie ostatniej płyty muzycy zajęli się sprawami osobistymi, zwalniając tempo działalności zespołu. Niewątpliwie trudno było zabrać się do pracy nad następcą **The Dark Side Of The Moon**. Po wielu próbach i namysłach muzycy zdecydowali się pójść w trochę innym kierunku. Udało się – powstał kolejny historyczny krążek.

Shine On You Crazy Diamond, według niektórych fanów najpiękniejszy utwór w całym dorobku Pink Floyd, powstawał w sposób „naturalny”. Cała grupa usiadła razem i wymyślała kolejne motywy. Całość zainspirował Gilmore początkowym riffem gitary. Ta niezwykle delikatna, a jednocześnie bardzo silna muzyka wprowadza słuchacza w krainę najwyższych lotów, z której nie ma ochoty się wracać. W kwestii przesłania utworu Waters wypowiedział się następująco: „Dla niektórych ludzi jedyny sposób zmierzenia się z faktem, że życie we współ-

czesnym świecie stało się czymś tak kurewsko smutnym, to zupełnie się wycofać. Tak jak Syd. O tym jest Shine On You Crazy Diamond. Ten utwór nie jest tak naprawdę o Sydzie. Syd to tylko symbol wszystkich ekstremalnych przypadków nieobecności, odsunięcia się od życia”.

Welcome To The Machine oraz **Have A Cigar** to dwie kompozycje opowiadające o trudach i smutkach bycia gwiazdą muzyki rockowej. Pierwsza opowiada o tym, że praca muzyka po latach staje się czymś strasznie mechanicznym. Cała produkcja zaczyna przypominać wielką maszynę. Taką sytuację przeżywało właśnie Pink Floyd. Był to właściwie pierwszy poważny kryzys w zespole. Dwa wymienione wyżej utwory były czymś w rodzaju autoterapii Rogera, która miała pomóc w szczerym zabraniu się do pracy. Gwoli ścisłości należy zaznaczyć, że kompozycję **Have A Cigar** nie śpiewa ani Roger, ani Dave. W rolę szefa firmy płytowej przyjmującego wizytę młodego zdolnego zespołu wcielił się gościnnie Roy Harper. Zaproszenie tego wokalisty Roger wspomina następująco: „Nie pamiętam, kto wpadł na ten pomysł; być może ja sam, mając pewnie nadzieję, że reszta powie: »Ależ nie, ty to zrób, Rog«. Tymczasem nic takiego się nie stało. Wszyscy krzyknęli: »Świetny pomysł!«. Roy wypadł wyśmienie, zwłaszcza pytając pod koniec pierwszej zwrotki: »A przy okazji, który z was to Pink?»”.

Kompozycja tytułowa **Wish You Were Here** powstała w niestandardowy sposób. Zastanawiając się nad kryzysem w grupie, cała czwórka pewnego dnia usiadła razem, aby szczerze porozma-



Wish You Were Here



Naklejka na folię wersji winylowej

wiać na ten temat. Ciekawsze sformułowania Roger spisał na kartce, po czym złożył z tego jeden z bardziej przejmujących tekstów w historii grupy. Do tych słów przepiękną muzykę napisał David. Tak powstał chyba najbardziej popularny, zaraz po ***Another Brick In The Wall, part 2***, przebój Pink Floyd.

Na tym krążku znajdziemy wiele smutku, samotności oraz nawiązań do sytuacji Barretta. Czy przypadkiem było, że właśnie podczas tej sesji nagraniowej odwiedził on Abbey Road? Roger wspomina to następująco: „Pamiętam, że siedziałem w studiu w re-

żyserce, gdy wszedł jakiś człowiek. Nie miałem pojęcia, kto to taki, bowiem bardzo przytył od czasu, gdy widziałem go poprzednio. A w dodatku ściął włosy. Pamiętam, że był ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy do samej ziemi, a w dłoni trzymał brązową papierową torbę, w której miał lemoniadę i ciasteczki. Usiadł za moimi plecami i przyglądał się temu, co robię. Wyprowadziło mnie to z równowagi. Nie miałem pojęcia, że to Syd. Nie poznałem go”. Stary przyjaciel został wyproszony ze studia. Tę sytuację Roger musi teraz wspominać wyjątkowo smutno.

Animals

Okladka utrzymana w ciepłych barwach zachodzącego słońca przedstawia latającą świnie nad budynkiem londyńskiej elektrowni Battersea – symbolu państwa kapitalistycznego. Ten sympatyczny latający zwierzak został zapożyczony z klasycznej dziecięcej rymowanki **The Flying Pig** i stanowi metaforyczny obraz człowieka w nowoczesnym społeczeństwie. Nadmuchiwana świnia zagościła u Pink Floyd na stałe i towarzyszyła grupie na koncertach właściwie do samego końca.

Przedstawienie schematów ludzkich zachowań za pomocą zwierząt (na płycie są to świnie, psy i owce) nieuchronnie kojarzy się z powieścią **Folwark zwierzęcy**, lecz nie jest to do końca właściwe skojarzenie. Powiązania są bardzo luźne, a George Orwell nie posiada przecież monopolu na stosowanie zwierzęcych alegorii.

Płyta posiada budowę kłamrową. Jej początek i koniec stanowią dwie części prostej piosenki **Pigs On The**



Animals

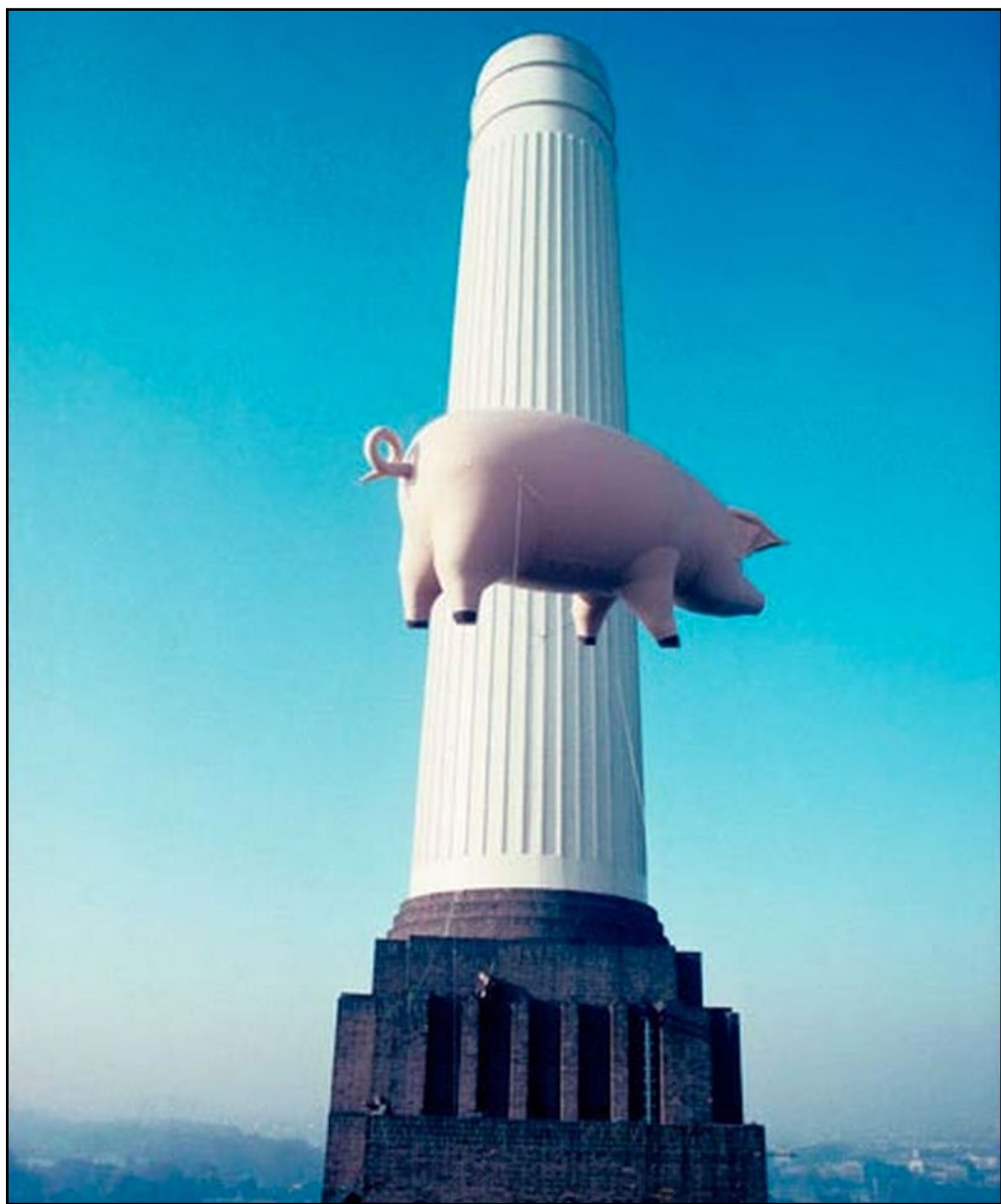
Wing, która początkowo miała ukazać się w całości z solówką Snowa White'a (zaprzysiężonego muzyka sesyjnego), łączącą te dwa fragmenty. Łagodny, miłosny tekst zaśpiewany przy akompaniamencie wyłącznie gitary akustycznej stanowi przeciwwagę dla pozostałych zjadliwych i rozbudowanych muzycznie kompozycji. Dwa z trzech utworów powstały już w trakcie prac nad **Wish You Were Here**. **Sheep** znane wcześniej jako **Raving And Drooling** oraz **Dogs** skomponowane pod nazwą **You Gotta Be Crazy**.

Pies jest rodzajem karierowicza, który dochodzi do celu wszelkimi możliwymi sposobami. Kiedy ktoś będzie próbował mu w tym przeszkodzić, on z przyjemnością wbije śmiałkowi nóż w plecy. Ostatecznie jednak zostaje pokonany, bo przecież takich ludzi jak on jest więcej, a każdy z nich sobie wzajemnie szkodzi. Owce to z kolei ludzie prości, ulegli i bojaźliwi. Zachowują się zgodnie z tłumem, całkowicie podporządkowując się ogólnym wymogom. Gdy jednak sytuacja staje się nadzwyczaj ciężka, są one w stanie sprzeciwić się i doprowadzić do buntu. Wzorem dla świń była Mary Whitehouse, działaczka Narodowego Stowarzyszenia Widzów i Słuchaczy, która w roku 1967 zaatakowała Pink Floyd, widząc w nich propagatorów LSD, wolnego seksu i wszelkiego możliwego zła. Świnie są więc ludźmi nadającymi sobie prawo rzecznika dobra społecznego, bezpodstawnie osądzającymi ludzi i decydującymi za nich. To wzór przywódców narodowych i religijnych, ludzi wielkiego biznesu i wszelkich nadętych wyróżniających się jednostek.

Podczas pracy nad tą płytą po raz pierwszy Roger całkowicie przejął nadzór nad produkcją. Reszta muzyków nie

pozostała jednak bez winy. Większość nie była w stanie wnieść nic nowego do jego pomysłów, chociaż narzucona reszcie zespołu dominacja bez wątpienia do tego nie zachęcała. W każdym

razie, jest to pierwszy album, w którym wszystko od okładki, przez teksty (które i tak od kilku lat jedynie on tworzył), aż do brzmienia każdego instrumentu są zgodne z zamysłem „mistrza Rogera”.



Latająca świnia na tle jednego z kominów elektrowni Battersea



The Wall

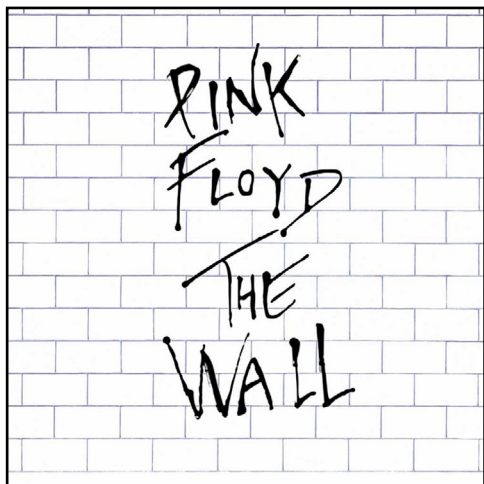
Dwupłytowe wydawnictwo jest trzecim (obok ***The Dark Side Of The Moon*** oraz ***Wish You Were Here***) najważniejszym dziełem Pink Floyd. Mamy tu do czynienia z rozbudowaną, wielowątkową koncepcją przedstawiającą życie człowieka w okrutnym otaczającym go świecie. Każde przeżycie jest cegłą w jego osobistym murze. Trzy części utworu ***Another Brick In The Wall*** przedstawiają najważniejsze wydarzenia z życia Pinka – bohatera płyty, a kilka lat później również filmu, którego scenariusz oparto na utworach z ***The Wall***. W części pierwszej dowiadujemy się o śmierci ojca bohatera na wojnie, co stało się jego życiową tragedią (jest to motyw autobiograficzny Rogera). Część druga (najbardziej znana) to trudne przeżycia szkolne. Trzecia zaś opowiada o tragicznej miłości. Mur zbudowany ze złych doświadczeń zaczyna przerastać Pinka. Owszem, jest on osłoną przed

okropnym światem zewnętrznym, lecz zbudowany z tak tragicznych wspomnień zaczyna go ograniczać, co jest przyczyną dręczącego go bólu.

Ta smutna historia jest piękna w swoim tragizmie, przez co zachwyca bez reszty. Wartych wyróżnienia jest kilka kompozycji. ***Comfortably Numb*** przede wszystkim za cudowną finałową partię solowej gitary Davida Gilmoura. ***The Trial*** za pozostające na zawsze w głowie motywy operowe autorstwa znanego kompozytora Boba Ezrina i genialny wokół Rogera naśladujący kilka postaci. No i wspomniany już ***Another Brick In The Wall***, part 2 chociażby za sukces komercyjny (jedyne w historii grupy single, który trafił na pierwsze miejsce billboardu).

Płytę ozdobiła efektowna trasa koncertowa (niestety ostatnia w pełnym składzie grupy). Na koncertach budowano kilkunastometrowy mur, który w połowie przedstawienia ściśle nie odgradzał muzyków od widowni. Publiczność była zdezorientowana do tego stopnia, że gdy podczas pierwszego koncertu zapaliła się górna część dekoracji, ludzie uznali to za część widowiska i spokojnie wpatrywali się w pożar i gaszącą go ekipę techniczną. W ostatnich latach Roger wystawiał analogiczne przedstawienie na solowej trasie – w tym trzykrotnie w Polsce.

Jak narodził się cały pomysł, Roger wyjaśnia następująco: „To było w lipcu 1977 roku po koncercie Pink Floyd na Stadionie Olimpijskim w Montrealu. Podczas tego występu publiczność robiła tyle hałasu, że straciłem panowanie nad sobą. W pewnej chwili pochyliłem się w stronę faceta, który próbował wdrapać się na estradę,



The Wall

i plunąłem mu w twarz. Schodziłem ze sceny zawstydzony swoim okropnym zachowaniem i przygnębiony. A granie wielkich stadionowych koncertów jako doświadczenie wyobcowujące od publiczności wydało mi się czymś bezsensownym. To wtedy w wyobraźni pojawił się obraz muru, rzeczywistego, fizycznego muru, odgradzającego mnie od słuchaczy. I właśnie od tej

wizji wszystko się zaczęło". Innym pomysłem na podkreślenie odległości dzielącej muzyków od publiczności było założenie przez muzyków sesyjnych masek przypominających twarze członków zespołu. Ludzie oglądający występ z dalszej odległości myśleli, że widzą Pink Floyd, gdy ci podczas pierwszego numeru byli schowani za sceną.



Przygotowania do koncertu – kukła przedstawiająca nauczyciela

The Final Cut

Podtytuł płyty brzmi: ***A Requiem For The Post War Dream By Roger Waters***. Więc już jawnie dowiadujemy się, że całość skomponował Waters, a reszta zespołu zagrała praktycznie jako muzycy sesyjni, nie zawsze zresztą odpowiadający wymaganiom Rogera. Ricka nie było już w zespole, rozstał się z grupą po trasie ***The Wall***. Perkusyjne partie Mazona często spotykały się z dezaprobatą lidera i były odrzucane. Największy wkład z reszty muzyków włożył Gilmour. Miał nawet znaczący wpływ na jeden z tekstów (***Not Now John***). Jednak obydwaj artyści pracowali w osobnych studiach, nie mogąc znieść już wzajemnego towarzystwa.

Krążek można uznać za kontynuację pewnych motywów ***The Wall***. Wprawdzie muzycznie różni się diametralnie – dominuje melancholijna gitara (zazwyczaj akustyczna – zagrał na niej Waters), smutne partie fortepianu

(autorstwa Michaela Kamena!) oraz orkiestra symfoniczna – lecz poruszenie tematu śmierci ojca i poszerzenie go o analizę przyczyny tego zdarzenia oraz ostra krytyka politycznych decyzji Wielkiej Brytanii tworzy z tego dzieła logiczną kontynuację ***Muru***.

The Fletcher Memorial Home to miejsce, w którym zebrani zostali światowi dyktatorzy od Napoleona do Hitlera. Będąc zamknięci w ***Domu pamięci Fletchera*** (to drugie imię ojca Rogera), mogą swobodnie bawić się w swoje chore gierki. Na płycie zostaje również poruszona aktualna wówczas sprawa konfliktu o Falklandy. „Maggie, what have you done?” – pyta Roger brytyjską premier Margaret Thatcher. Nie mógł zrozumieć tej krwawej politycznej zagrywki zbrojnej o mały skrawek bezużytecznej ziemi na drugim końcu świata.

Po premierze płyty zespół nie był w stanie grać razem. Nie doszło do żadnej trasy, a dwa lata później Roger ogłosił, iż odchodzi z zespołu. Twierdził przy tym, że reszta grupy nie będzie w stanie bez niego dalej tworzyć pod szyldem Pink Floyd. Rozpoczął karierę solową.



The Final Cut



Motyw łączący utwory z *The Wall* oraz *The Final Cut*



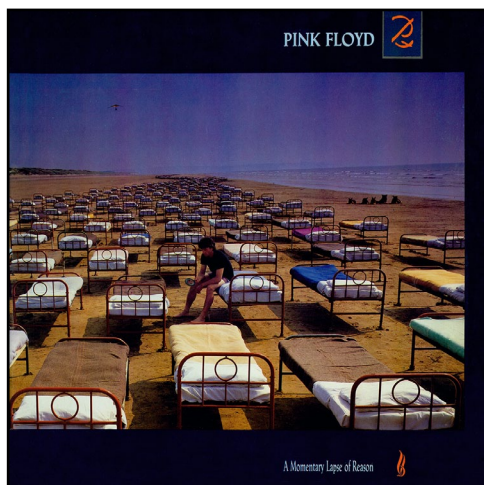
A Momentary Lapse Of Reason

Czym było Pink Floyd po odejściu Rogera i wcześniejszym wykluczeniu z zespołu Ricka? Na okładce tego albumu znalazła się informacja, że grupa składa się z dwóch osób – Nicka Masona i Davida Gilmoura – co ustanawia Nicka jedynym członkiem grupy będącym w zespole od samego początku do końca. Siłą napędową w tym momencie stał się Dave i pierwsza płyta bez Watersa jest w znacznej części jego autorstwa, co Roger nazwał „oszustwem”. Tak jakby zapomniał, że za poprzednim krążkiem (*The Final Cut*) również stoi jedna osoba – on sam. David zaprosił do studia wielu zdolnych instrumentalistów, którzy mieli pomóc w utrzymaniu stylu Pink Floyd.

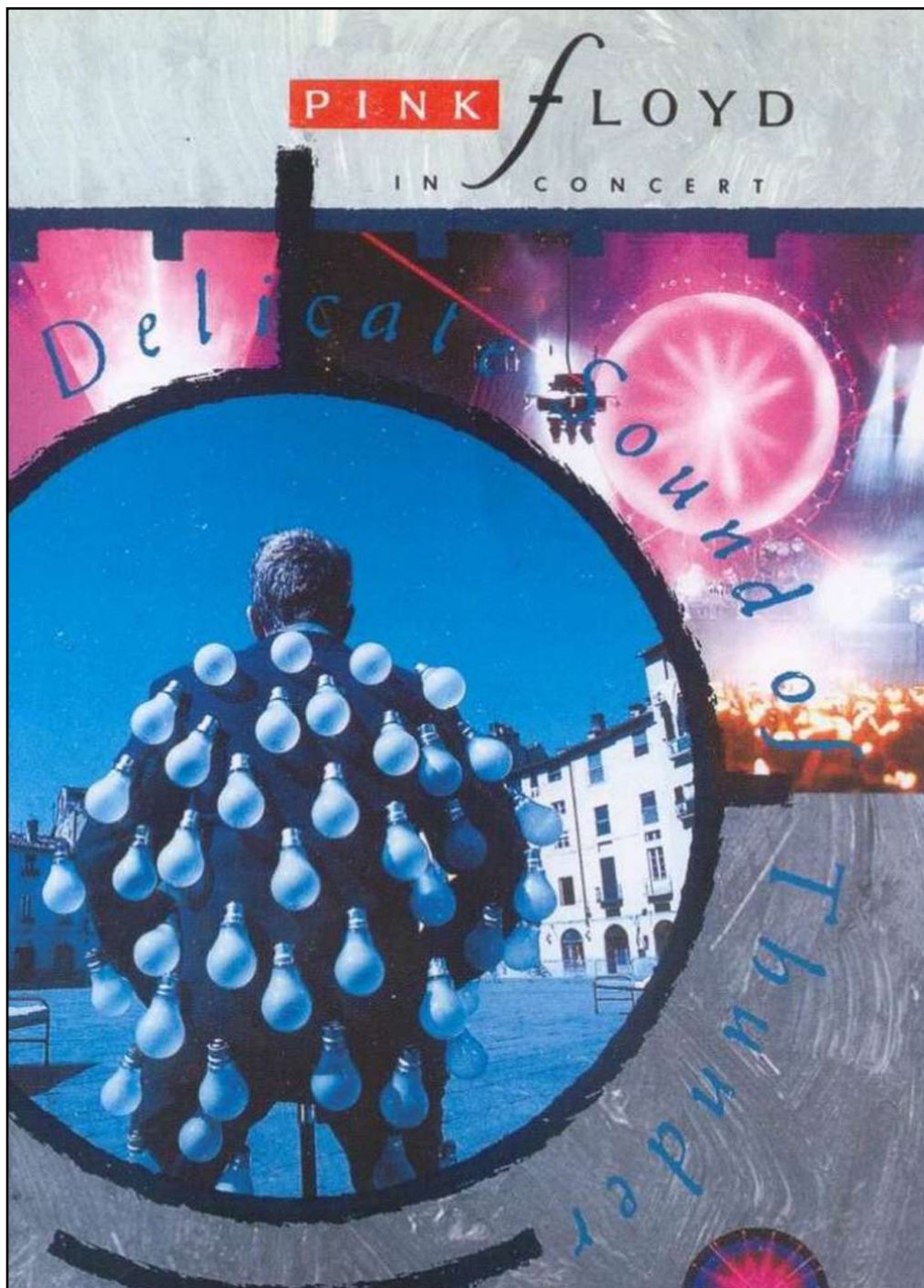
Przykładowo, przy opisie utworu *Learning To Fly* widnieją nazwiska: David Gilmour, Anthony Moore, Bob Ezrin, Jon Carin. Tekst Moore’a o nauce latania (lekcje pilotażu brali wówczas

Nick i Dave) metaforycznie opowiada o ludzkich ambicjach, a być może przede wszystkim o ambicjach Gilmoura, dla którego utrzymanie działalności Pink Floyd bez Rogera było sprawą honoru. Z kolei tekst *Sorrow* jest autorstwa Davida i uważa się go za największe osiągnięcie literackie gitarzysty. Cały utwór zarejestrowano bardzo szybko zaraz po napisaniu tekstu. Solówkę nagrano za pierwszym podejściem.

Uwagę zwraca okładka autorstwa Storma Thorgersona. Rzeka łózek ustawionych na plaży przylądka Saunton Sands w Wielkiej Brytanii. Trzydziestu robotników rozstawiało osiemset łózek dwukrotnie (pierwszego dnia zaczął padać deszcz). Koszty były ogromne, ale efekt zapiera dech w piersiach.



A Momentary Lapse Of Reason



Zapis koncertów ukazał się ponazwą *Delicate Sound of Thunder*

The Division Bell

Dotychczas ostatnia studyjna płyta Pink Floyd. Po trasie promującej poprzedni album Nick i Rick, którego zaproszono na scenę, odzyskali siły twórcze. Zmieniono również technikę tworzenia nowego materiału. Zespół siadał w czwórkę (rolę basisty przejął młody zdolny muzyk Guy Pratt) i grali to, co przychodziło im do głowy, rozwijając kolejne wątki. Pomysłów powstało tyle, że wystarczyłoby na dwa albumy, co zresztą ma się niebawem ziścić. Gorzej z tekstami. Nikt w zespole nie czuł się na siłach przygotować teksty dorównujące dokonaniom lirycznym Rogera.

Wtedy w życiu Davida pojawiła się Polly Samson (jego późniejsza żona). Dave zaproponował jej napisanie kilku tekstów na płytę. Jej pomysły uświetniły m.in. takie kompozycje jak: **What Do You Want From Me?**, **Take It Back**, **Keep Talking**, **Lost For Words**, czy może najważniejsza **High Hopes**. Ten ostatni to wspomnienie

beztroskich lat dzieciństwa w Cambridge. To z tego tekstu pochodzi tytuł płyty **The Division Bell**. Storm Thorgerson wyreżyserował przepiękny teledysk do tego utworu. Tytułowy **Division Bell** to dzwon, który wzywa brytyjskich parlamentarzystów na głosowanie. W utworze stanowi on symbol podziału między beztroską dzieciństwa a odpowiedzialnością dorosłości.

Najbardziej doniosłym fragmentem płyty jest instrumentalna kompozycja **Marooned** i ujmująca solówka gitarowa Davida. Szybsze i łatwiejsze w odbiorze **Keep Talking** mówi o tym, że gdyby ludzie więcej ze sobą rozmawiali, to lepiej by się rozumieli. W utworze wykorzystano słowa słynnego fizyka Stephena Hawkinga, który cierpi na stwardnienie zanikowe boczne, przez co jedyną dla niego możliwością werbalnego porozumienia się jest komputerowy syntezator mowy. Wzmacnia to wymowę słów: „Przez miliony lat ludzie żyli jak zwierzęta, po czym wydarzyło się coś, co wyzwoliło moce naszej wyobraźni – nauczyliśmy się mówić”. Te słowa można by uznać za motyw przewodni całego krążka, bo mniej lub bardziej prawie każdy utwór porusza kwestię porozumienia międzyludzkiego bądź jego braku i wynikających z tego sytuacji.



The Division Bell



Monumentalna scena z trasy *p.u.l.s.e*

2014

The Endless River

Nieznany jeszcze materiał sprzed dwudziestu lat ma się ukazać lada dzień. Zapowiada się piękne pożegnanie z pokoleniami fanów.

Tadeusz Bisewski



The Endless River



Amen, *bracie*

Czyli jak sześć sekund zmieniło bieg wydarzeń w muzyce.

W 1969 roku funkowo-soulowa grupa The Winstons wydała jeden z najpopularniejszych singli w swojej karierze. Utwór **Color Him Father** dotarł do drugiego miejsca listy przebojów R&B, zajął też siódmą pozycję w zestawieniu Billboard Hot 100, a rok później jej kompozytor, Richard L. Spencer, został za nią uhonorowany nagrodą Grammy. Na drugą stronę winylowego krążka trafił kawałek **Amen, Brother**, instrumentalna wersja gospelowego

standardu podkolorowana funkiem. Typowy wypełniacz, na który wówczas niewielu zwróciło uwagę. Dziś zapewne mało kto potrafiłby zanucić **Color Him Father**. Natomiast **Amen, Brother** – konkretnie zaś cztery takty perkusyjnej solówki Gregory'ego C. Colemana – słyszał każdy, nawet jeśli o tym nie wie.



The Winstons

Amen, Brother



The Winstons

Amen, Brother

Prawie 20 lat później, w drugiej połowie lat 80., kiedy o The Winstons nie pamiętał już prawie nikt (grupa rozpadła się krótko po nagraniu przebojowego singla), niejaki Breakbeat Lenny umieścił spowolnione bębny z **Amen, Brother** na składance dla didżejów i producentów pt. **Ultimate Breaks and Beats**. Sześćosekundowe solo Colemana na bębnach było znane wśród nich już wcześniej. Po wydaniu kompilacji stało się jednym z najpowszechniej samplowanych breaków w historii muzyki. Odpowiednio zwolnione lub przyspieszone stało się ścisłą i esencjonalną podstawą utwo-



The Winstons

rów z tak rozmaitych konwencji, jak hip-hop, breakbeat, hardcore, digital hardcore, rave, jungle, drum'n'bass i breakcore. Brytyjski producent Luke Vibert ma nawet osobny projekt, nazywany stosownie Amen Andrews, w ramach którego w niemal każdym utworze umieszcza amen breaka w różnych mutacjach, permutacjach i konfiguracjach.

Pełna lista twórców, którzy posłużyli się solówką Colemana, jest zresztą poza jakimkolwiek zasięgiem, bo amen break zdążył pojawić się niemal wszędzie. Już nie tylko w rapie (klasyczne przykłady: **Bring The Noise** Public Enemy i **Straight Outta Compton** N.W.A.),

electro funku (**The King of the Beats** Mantronix – szalenie ważny utwór w tej historii), jungle (**Original Nuttah** Shy FX & UK Apache), drum'n'bass (**Inner City Life** Goldiego) czy w digital hardcore (**Deutschland [Has Gotta Die]** Atari Teenage Riot). Sampel zaczął przenikać do industrialnego rocka (**The Perfect Drug** Nine Inch Nails), britpopu (**D'You Know What I Mean** Oasis), a nawet do reklam dzinsów, gier komputerowych w rodzaju **Need For Speed 3** i seriali telewizyjnych, takich na przykład jak **Futurama**.



Mantronix

King Of The Beats



Pierwsza minuta i dwudziesta szósta sekunda **Amen, Brother**. Dęciaki, organy i gitara basowa cichną i wtedy stery przejmuje Gregory C. Coleman. Dwa pierwsze takty to powtórzenie poprzedniej struktury rytmicznej. W trzecim takcie muzyk zwleka z uderzeniem w werbel, w czwartym rezygnuje z pierwszego uderzenia, po czym wchodzi z synkopowanym rytmem, dość nieoczekiwanie przerwany – przedwczesnym, zdawałoby się – biciem w talerz. Cztery takty, sześć sekund ze strony „B” singla zespołu jednego przeboju i status prawdopodobnie najczęściej używanego sampla wszech czasów. Niejaki Dillinja, jeden z pionierów jungle, wspominał, że swego czasu toczono niemal bitwy o to, kto popisie się najbardziej pomysłowym wykorzystaniem breaka, a jazzowy saksofonista Pete Wareham wyznał, że kiedy ktoś puścił mu amena, przed oczami błysnęło mu ostatnie 20 lat życia. W czym tkwi fenomen amen breaka?

Jednym z tropów jest na pewno charakterystyczny styl gry Colemana. Wzór solówki jest równy i rytmiczny, a przez to niezwykle wdzięczny do samplowania, aranżowania i przetwarzania, brzmiący znakomicie zarówno w wersji spowolnionej, jak i przyspieszonej. Rezygnując z trzymania się rytmu hi-hatów, Coleman wypełnił przestrzeń nagłym uderzeniem w talerz, tuż po „połamaniu” pierwotnego rytmu. Ten sam rytm, przyspieszony do co najmniej 170-180 uderzeń na minutę, nabiera właściwości tyleż tanecznych, co wręcz frenetycznych. Tom Skinner, brytyjski muzyk sesyjny z Londynu, w jednym z wywiadów potwierdził niezwykłość amen breaka: „To język, który istniał już wcześniej, ale nigdy przedtem

nie słyszano, żeby perkusista grał w ten sposób”. Pisarz Michael S. Schneider posunął się jeszcze dalej, spekulując, że solówka Colemana posiada właściwości matematycznego złotego podziału – starożytnej proporcji, która według Greków odpowiadała za wyjątkowe walory estetyczne.



*Amen break
(normal, fast and slow)*

Choć amen break samplowano dziesiątki (jeśli nie setki) tysięcy razy, ani dysponent praw autorskich – Richard L. Spencer – ani perkusista Gregory Coleman nigdy nie otrzymali żadnego honorarium za tantiemy. Podobno Coleman dostał 1000 dolarów od anonimowego darczyńcy, jednak nigdy nie zostało to potwierdzone. Bębniarz zmarł w biedzie w 2006 roku. Z kolei Spencer dowiedział się o zamieszkaniu, jakie wykonał sampel pochodzący z jego kompozycji, dopiero w 1996 roku, po telefonie od brytyjskiego producenta poszukującego taśmy-matki z **Amen, Brother**. Autor pierwotnego wykonania określił poczynania producentów i didżejów w ostry sposób – jako ponury plagiat. „Coleman włożył w to solo swoje serce i duszę, a teraz ci wszyscy kolesie na tym żerują, zbijając fortunę” – mówił w jednym z wywiadów.

Rozgoryczenie Spencera jest zrozumiałe. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że siadając za bębnami pewnego dnia roku pańskiego 1969, Gregory C. Coleman unieśmiertelnił jego (i swoje) dzieło, przy okazji niechcący zmieniając historię muzyki.

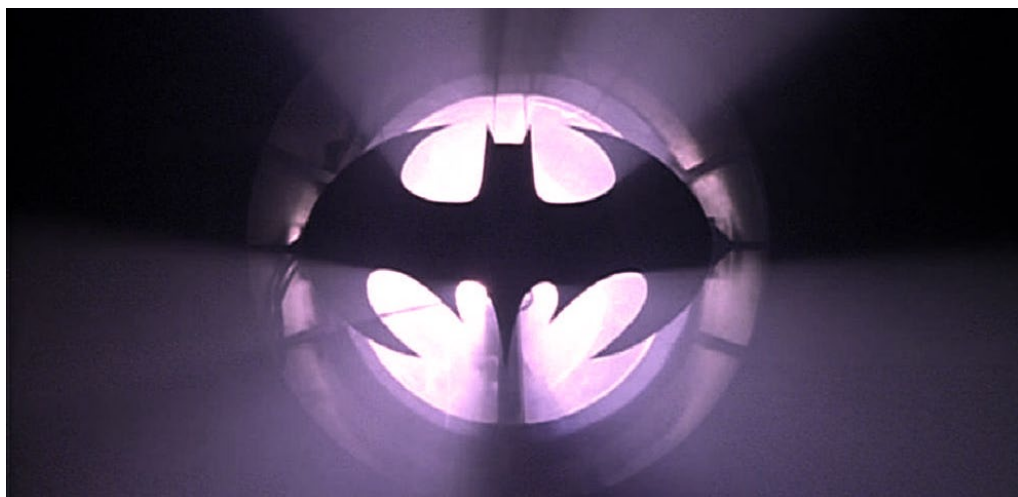
Maciej Kaczmarski

Super muzyka

Bez czego nie mogą się obejść filmy o superbohaterach? Niektórzy z Was pomyślą o efektach specjalnych, inni o odpowiednim aktorze wcielającym się w główną postać lub o scenariuszu wiernie odtwarzającym uniwersum komiksu. Lecący właśnie w kinach obraz ***Strażnicy Galaktyki*** pokazuje, że jest jeszcze jedna niezwykle istotna kwestia, o której nie mogą zapomnieć reżyserzy z Hollywood – muzyka.

Chris Pratt, bohater ekranizacji ***Guardians Of The Galaxy***, zostaje porwany jako dziecko przez kosmitów, a jedynym przedmiotem, który udaje mu się przemyścić na statek, jest walkman. Przedmiot ten towarzyszyć będzie już zawsze Prattowi podczas jego gwiazdnych przygód. Na ekranie nasz bohater słucha w kółko klasycznych kawałków

z lat 60. i 70., przez co muzyka staje się w filmie ważniejsza niż dziesiątki wybuchów, walk i pościgów, których jesteśmy świadkami. Mało tego, to muzyka pociąga akcję do przodu i ma realny wpływ na poczynania oraz wybory bohaterów. Nic dziwnego, że OST do ***Strażników*** sprzedaje się tak dobrze na całym świecie.



Jak się okazuje, w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat – które można śmiało nazwać złotą erą kina superbohaterskiego – powstało wiele godnych uwagi ścieżek dźwiękowych do filmów o Supermanie, Batmanie, X-menie, Hulku, Thorze itd. Często ich wspólną cechą charakterystyczną jest pompatyczność, marszowość i doniosłość. Sytuacja zmienia się, gdy zaczniemy mówić nie o całych płytach, ale o piosenkach promujących dany blockbaster, do których zatrudniono zespoły znane ze świata popkultury. Tutaj mamy prawdziwą różnorodność gatunkową – od rocka poprzez hip hop, pop, muzykę elektroniczną i heavy metal. Które z tych utworów są najlepsze? Oto nasza subiektywna superlista:

Prince

Batdance

1989



Niezapomniany film Tima Burtona posiada także niezapomnianą piosenkę Prince'a, która promowała dzieło amerykańskiego reżysera. **Batdance** to soczysta porcja popu z charakterystycznym dla **księcia** funkowym zacięciem. Prawdziwą perełką jest teledysk do tego kawałka, w którym widzimy twórcę **Purpurowego Deszczu** przebranego w połowie za Człowieka Nietoperza, w połowie za Jockera. Takiego Two-Face'a jeszcze nie widzieliście.

Manowar

Thor

1984



Kto inny mógł napisać utwór do filmu o perypetiach napakowanego boga

Wikingów, jak nie hołdujący maskulinistycznej kulturze Manowar? Testosteron kapie obficie z heavy metalowej melodii, solo gitary przywołuje pioruny, a słowa „zmiażdż niewiernych na swej drodze/niech będą zbawieni pod Twoim młotem” brzmią niemal jak starożytna modlitwa. Jest moc.

Snoop Dog

Batman & Robin

2002



„Zimny dzień w Gotham, w jaskini Batmana trwa chill” rapuje Snoop Dogg (wtedy jeszcze nosił taką ksywę) na pochodzącym z 2002 roku utworze stworzonym do przefatalnego filmu **Batman & Robin**. Jest to najgorsza i zarazem najbardziej kiczowata ekranizacja przygód Batmana, w której twórcom nie udało się skopać jednej, jedynej rzeczy – muzyki. Kto by pomyślał, że honor uszatego superbohatera uratuje palący jointa gangsta...

Michael Buble

Spider-Man

2006



Każdy kto widział film o człowieku pająku, który z niezwykłą gracją przemieszcza się pomiędzy wieżowcami Nowego Jorku przy pomocy pajęczyn wypuszczanych z nadgarstków przyzna, że żaden inny gatunek muzyczny nie zobrazuje lepiej tego obrazka niż swingujący jazz. Stylowy, lekko zmanierowany – taki właśnie jest utwór prezentowany przez Michaela Buble'a, który usłyszeć możemy w filmie **Spider-Man 2**. Peter Parker z pewnością byłby na tak.

Queen

Flash

1980



Wydany w 1980 roku singiel **Flash** można dzisiaj śmiało określić jako legendarny. Podniosły refren, marszowe tempo, synthowy podkład, popowa melodyka. Queen nie tylko napisał tę piosenkę na potrzebę filmu Mike'a Hodgesa, ale stworzył do niego całą ścieżkę dźwiękową, która jest ważnym punktem w dyskografii załogi dowodzonej przez Freddiego Mercury'ego.



PAGE 2

Queen

The Ramones

Spiderman

1995



Ta piosenka być może nie powinna się znaleźć na naszej liście, bo stanowi tło muzyczne dla filmu... animowanego. Nie sposób o niej jednak nie wspomnieć. W końcu kultowi The Ramones zagrali punkowy hymn na cześć Człowieka-Pajaka! No bo przy czym najlepiej zwalcza się siły ciemności, jak nie przy żywiołowych riffach made from New York?

Drowning Pool

Man Without Fear

2003



Filmy o superbohaterach są dynamiczne, efekciarskie i kręcone z prawdziwym rozmachem. Dlatego tak dobrze pasuje do nich muzyka tzw. ciężka, oparta w głównej mierze na gitarach. Dobrym tego przykładem jest zespół Drowning Pool, który nagrał kompozycję do filmu **Daredevil**. Rozpędzone riffy, agresywny wokal, gęsta perkusja – herosi to lubią.

Seal

Kiss From A Rose

1995



Batman Forever nie był z pewnością dobrym filmem. Mało tego, był filmem bardzo, bardzo, bardzo złym, którego do dzisiaj fani Nietoperza nie potrafią zapomnieć reżyserowi Joelowi Schumacherowi. Zgoła inaczej wyglądała sytuacja ze ścieżką dźwiękową do filmu. Kawał dobrej roboty wykonał Seal, komponując balladę **Kiss From A Rose**, którą jeszcze dzisiaj można usłyszeć często w radiu. „Ba-ya-ya, ba-da-ba-da-da-da, ba-ya-ya” – klasyk!

U2

*Hold Me, Thrill Me,
Kiss Me, Kill Me*

1995



Bono przebrany za Jockera w teledysku stylizowanym na komiks? Tak właśnie wyglądał obraz do utworu **Hold Me, Thrill Me, Kiss Me, Kill Me** nagrałego





U2

na potrzeby filmu **Batman Forever**. Piosenka utrzymana w glamrockowym klimacie stała się hitem w USA oraz Wielkiej Brytanii. Otrzymała również nominacje do MTV Movie Award.

Soundgarden

Live To Rise

2012



Na początku obecnej dekady, po kilkunastoletniej przerwie, do życia powrócił legendarny grunge'owy zespół Soundgarden. Chris Cornell ponownie chwycił za mikrofon i pokazał światu, że jest w znakomitej formie. Teledysk do pierwszego nowego kawałka Soundgarden **Live To Rise** znalazł się we wchodzącym 11 maja 2012 roku do polskich kin filmie **Avengers**. Są tu emocje, jest pompacyjny klimat i świetna gitarowa solówka, czyli idealny przepis na hit. W naszym kraju piosenka okupowała wysokie miejsca na rockowych listach przebojów. Zasluzenie.

Kamil Downarowicz



Soundgarden



PREMIERY *filmowe*

#szpiegowski

reż. Anton Corbijn

Bardzo poszukiwany człowiek

Dobre kino szpiegowskie zawsze w cenie, szczególnie w czasach, gdy konwencja ta popadła w niełaskę. Nowy film Antona Corbijna, który z dobrej strony pokazał się przy okazji **Control** i **Amerykanina**, w zwiastunie prezentował się obiecująco. Historia tajnej komórki niemieckiego wywiadu, zajmującej się tropieniem i unieszkodliwianiem potencjalnych islamskich terrorystów, zapowiadała się interesująco, tym bardziej, że w głównej roli wystąpił zmarły przed kilkoma miesiącami Philip Seymour Hoffman.

Rzeczywistość okazała się nieco rozczarowująca – **Bardzo poszukiwanemu człowiekowi** zabrakło pazura, jakim powinien charakteryzować się rasowy thriller szpiegowski. Trudno oprzeć się wrażeniu, że główna intryga to przysłowiowa burza w szklance wody. Główny zły nie jest wystarczająco zły, a zagrożenie nie wydaje się być groźne. Film ratuje doskonała jak zwykle dyspozycja Hoffmana, a także równie imponujące występy aktorów drugoplanowych – Rachel McAdams, Willema Dafoe i znakomitej niemiec-



kiej aktorki Niny Hoss. Dzięki zdjęciom doskonałego operatora Benoît Delhomme'a Hamburg, w którym rozgrywa się akcja, wygląda na miasto, do którego chciałoby się pojechać.

Film Corbijna imponuje pod względem formalnym, jednak zawodzi na polu kreowania intrygi. **Bardzo poszukiwany człowiek** nie będzie dziełem, które wydobędzie z impasu konwencję kina szpiegowskiego.

#thriller #zemsta #kino niezależne

reż. **Jeremy Saulnier**

Blue Ruin

Niewątpliwą zaletą dokonań twórców kina niezależnego jest surowość stylu, która nie jest pożądanym towarem w nurcie mainstreamowym. Thriller napisany i wyreżyserowany przez Jeremy'ego Saulnier, który od lat wspiera rozwój kina niezależnego jako operator, na tej właśnie surowości opiera swą formę. Autor bez pośpiechu wprowadza nas w historię bohatera żyjącego w tytułowej niebieskiej ruinie, czyli rozpadającym się Pontiacu. Stopniowo odkrywane fabularne karty umiejętnie budują napięcie, choć mocne sceny obecne są w **Blue Ruin** niemal od początku.

Saulnier opowiada piękną w swej prostocie historię zemsty, która – choć wyegzekwowana po wielu latach oczekiwania – dokonana zostaje w sposób chaotyczny i nieuwzględniający konsekwencji. Neurotyczny kloszard Dwight wymierza sprawiedliwość za krzywdy wyrządzone jego rodzinie, lecz nie zdaje sobie sprawy, że właśnie ściąga na nią jeszcze większe niebezpieczeństwo. W rozgrywającym się na



amerykańskiej prowincji dreszczowcu myśliwy staje się zwierzyną, by w finale ponownie stać się myśliwym.

Anonimowość obsady, w której jedynie pojawiający się w rewelacyjnym epizodzie Devin Ratray może zostać rozpoznany przez szerszą widownię, to ogromna zaleta **Blue Ruin**. Anonimowy mściciel, wyglądający jak oderwany od liczydła aspołeczny księgowy, jest w swej chaotycznej wendecie dużo bardziej przekonujący niż całe zastępy Johnów Rambo, Punisherów i innych herosów.

#Kanada #psychologiczny

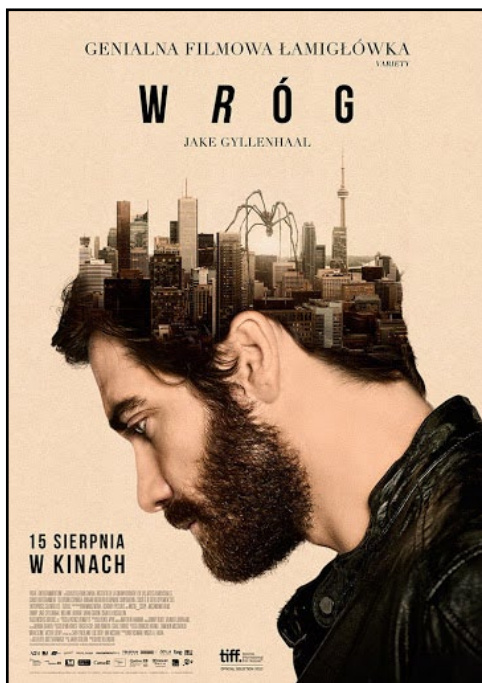
reż. **Denis Villeneuve**

Wróg

Są filmy, po obejrzeniu których umysł widza przez długie godziny pozostaje w katatonicznym stanie, usiłując położyć w całość rozkrzyczane fragmenty obejrzanego dzieła. **Wróg** Denisa Villeneuve'a to właśnie jeden z takich filmów.

Kanadyjski reżyser to jeden z tych twórców, których należy uważnie obserwować – każdy kolejny obraz wychodzący spod jego ręki jest bardziej intrygujący niż jego poprzednik. Jednocześnie Villeneuve'owi udaje się tworzyć dzieła odrębne i indywidualne, które pozornie nie mają wiele wspólnego z pozostałymi pozycjami jego filmografii. A jednak jest coś, co wydaje się tego twórcę interesować szczególnie mocno – wewnętrzny ludzki niepokój.

Głównie to uczucie rodzi się w widzu, gdy ogląda opowieść o Adamie, uniwersyteckim wykładowcy, który w poleconym przez kolegę z pracy



filmie odnajduje swego sobowtóra. Niespodziewane odkrycie stanie się za-
lążkiem niebezpiecznej obsesji, która
wywróci życie i tożsamość głównego
bohatera (bohaterów?) do góry noga-
mi. W tym skrajnie niejednoznaczny
filmie niepokój jest podstawowym ele-
mentem budulcowym, wspieranym
przez świetną grę Jake'a Gyllenhaala,
Mélanie Laurent i Sary Gadon.

Wróg to film, w którym nic nie jest
jasne, a porozrzucane tu i ówdzie in-
terpretacyjne tropy raz po raz pro-
wadzą widza w ślepy zaułek. Ten film
to potężnie oddziałujący na psychi-
kę thriller, dzięki któremu Villeneuve
powinien zdomować się w czołówce
północnoamerykańskich reżyserów.

#komiks #marvel #przygodowy

reż. James Gunn

Strażnicy Galaktyki

Przez 80 lat istnienia Marvel Comics
dorobiło się tak potężnego uniwersum
superbohaterów, że przeniesienie ich
wszystkich na wielki ekran zajęłoby
kilka następnych stuleci. Można być
więc spokojnym o kondycję filmowej
gałęzi komiksowego imperium, szcze-
gólnie po obejrzeniu rewelacyjnych
Strażników Galaktyki.

Przywołujący na myśl najlepsze
dokonania kina Nowej Przygody, film
Jamesa Gunna jest wspaniałą podróżą
przez wszechświat, w którym aż roi
się od drani chcących posiąść władzę
absolutną. Wśród nich jest też kilko-
ro takich, którym leży na sercu los
mieszkańców kosmosu, choć sami
nie należą do postaci krystalicznych.
W tytułowej grupie znajduje się ziem-
ski złodziejaszek, ponętna zabójczy-

Skala ocen:

God must have been a fuckin' genius

I just met a wonderful new man.
He's fictional but you can't have everything

My mum always said,
life is like a box of chocolates

I love you, honey bunny!

May the Force be with you

Too weird to live, and too rare to die

Coco Jumbo i do przodu

Huston, we've got a problem

**
Ja tu widzę niezły burdel

*
Albercik! Wychodzimy!



ni, bezwzględny osiłek, gadający szop i antropomorficzne drzewo. Każde z osobna jest jak tykająca bomba, zaś razem... Cóż, razem są jak 5 tykających bomb, które podczas dwugodzinnego seansu wybuchają co najmniej kilkunastokrotnie.

Strażnicy Galaktyki są prze zabawni, co zawdzięczają znakomicie dobrej obsadzie. Ta osobliwa grupa ma w sobie dużo więcej uroku niż wszyscy dotychczas sfilmowani herosi razem wzięci, a Chris Pratt ma wszelkie dane, by już wkrótce zastąpić Roberta Downey Jr'a na pozycji największego zawiadziaki filmowego świata Marvela.

#kino akcji #retro

reż. **Patric Hughes**

Niezniszczalni 3

Każda formuła kiedyś się wyczerpuje, nawet tak pozornie niezawodna jak ta, którą w 2010 roku przedstawił światu Sylvester Stallone. **Niezniszczalni** jako próba restytucji wielkich gwiazd kina akcji lat 80. i 90. sprawdzili się znakomicie, wywołując prawdziwą modę na retrokino. Seria o jednostce najemników do zadań specjalnych urosła już do rozmiarów trylogii, jednak jej trzecia odsłona nie zachęca do czekania na kontynuację.

Gdzieś stępił się żart Niezniszczalnych, a nowym członkom grupy brakuje charyzmy i magnetyzmu, który przyniósł sukces filmowi sprzed czterech lat, a także jego sequelowi w 2012 roku. Czerstwe dowcipy wywołują jedynie zażenowanie widza, a i sami aktorzy nie wyglądają na szczególnie rozbawionych. Na dodatek można odnieść wrażenie, że oglądany film jest



tylko kosmetyczną przeróbką poprzednich części. Choć każdą z nich nakręcił inny reżyser, przez ekran przewijają się te same pojedynki, pościgi i strzelaniny. Z recepty na sukces, jaką wydawał się mieć Stallone, tym razem upieczono całkowity zakalec.

Przy całkowitym obniżeniu oczekiwań **Niezniszczalni 3** mogą uchodzić za przeciętnej jakości rozrywkę, jednak nawet oddani fani Sly'a i spółki mogą się poczuć rozczarowani filmem Patricka Hughesa.

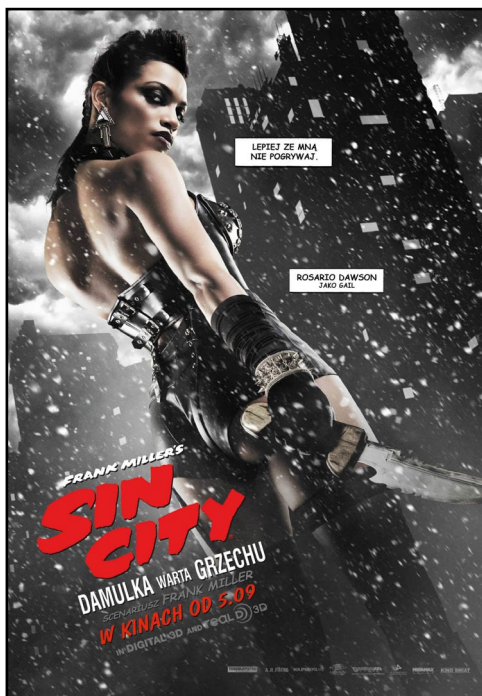
#sequel #komiks #kino noir

reż. Robert Rodriguez, Frank Miller

Sin City 2: Damulka warta grzechu

Dziewięć lat temu Robert Rodriguez do spółki z Frankiem Millerem nakręcił film, który był powiewem świeżości w konwencji kina komiksowego. Wykorzystał sztafaż konwencji noir i podkreślił go do maksimum, wykorzystując jej ikonografię do stworzenia całej galerii interesujących postaci. To dziwne, że tak długo musieliśmy czekać na sequel dzieła, które z miejsca zyskało status kultowego.

Sin City 2: Damulka warta grzechu to film, który można uznać za wzorowy przykład bezrefleksyjnego podążania wcześniej wytyczoną ścieżką. Choć w przypadku filmu Rodrigueza nie do końca można uznać to za zarzut, brak innowacyjności w stosunku do pierwowzoru z 2005 roku jest niemałym rozczarowaniem. Doszło oczywiście do kilku zmian personalnych, które w kontekście całości należy uznać za udane, lecz trudno wyzbyć się uczucia potężnego déjà vu.



Dobrze znów zobaczyć Mickeya Rourke'a w roli nieokrzesanego Marva, wciąż przyjemnie patrzy się na Jessicę Albę i Rosario Dawson, zaś Lady Gaga jako Bertha to raczej ciekawostka niż wartościowy dodatek do obsady. Trzeba docenić Rodrigueza za stylistyczną konsekwencję, a Franka Millera za to, że nie pozwolił **Sin City 2** podzielić losu kontynuacji ekranizacji innego swojego komiksu – **300**.

#animacja #anime #Japonia #Studio Ghibli

reż. Hayao Miyazaki

Zrywa się wiatr

Jeżeli Hayao Miyazaki dotrzyma słowa i **Zrywa się wiatr** będzie ostatnim jego filmem, z pełnym przekonaniem można powiedzieć, że współzałożyciel Studia Ghibli zakończył karierę tak, jak ją prowadził – po mistrzowsku. Ostatni film geniusza japońskiej animacji jest tym, czym jego dzieła zawsze były – arcydziełem.

Historie z wytwórni Ghibli dzielą się na dwie grupy – magiczne, opowiadające o nadprzyrodzonych światach i fantastycznych wymiarach, i realistyczne, mocno wpisane w historię i kulturę Japonii. **Zrywa się wiatr** należy do tego drugiego zbioru, lecz choć jest opowieścią bardziej „przyziemną”, to jej bohatera trzeba uznać za postać wyjątkową. Traktuje bowiem o losach Jiro Horikoshiego, wybitnego inżyniera i projektanta japońskich samolotów bojowych, którego życiorys pełen był fascynujących wydarzeń. Choć w praktyce jest to film biograficzny, Miyazakiem ponownie udało się stworzyć wspaniałą baśń o potędze marzeń



i konsekwencji w dążeniu do ich zrealizowania.

Emerytura Hayao Miyazakiego to jedna ze smutniejszych wiadomości, z jakimi w ostatnich latach musiało zmierzyć się środowisko światowej animacji, a zwłaszcza fani kultowego Studia Ghibli. Na dodatek sama wytwórnia ogłosiła, że zawiesza działalność twórczą, zajmując się jedynie dystrybucją dotychczas stworzonych dzieł. To cios dla wielbicieli anime na całym świecie, ale jeśli to rzeczywiście był ostatni akt w bogatej historii słynnego studia, pożegnanie wypadło bardzo okazale.

Opracował: Dawid Myśliwiec

Czytasz za darmo?

Wyślij SMS-a

Nie mamy nic przeciwko darmowemu przesyłaniu znajomym numerów naszego pisma! Jeśli jednak posiadasz ten numer z takiego źródła, a uważasz, że jest on wart swojej ceny - zapłać ją! **To tylko 1.23 zł**, a pozwala nam kontynuować i rozwijać naszą działalność.

Wyślij **HPAY.ALTERPOP** na numer **7155** (1.23 zł)



Robin Williams

1951-2014

Zamiast słowa wstępnego – cytat ze Strażników Alana Moore’a: Kiedyś usłyszałem dowcip. Przychodzi facet do lekarza. Mówi, że jest w depresji. Mówi, że jego życie jest trudne i okrutne. Mówi, że czuje się samotny w wielkim świecie, a jego przyszłość jest bardzo niepewna. Lekarz mówi: „Kuracja jest prosta. Wielki kłown Pagliacci daje występ dziś wieczorem. Idź na jego występ, to powinno poprawić ci humor”. Ale facet zaczyna płakać. Mówi: „Panie doktorze, to ja jestem Pagliacci”.

Nie będzie wspominkowej biografii, wyliczanki żon, anegdot o kokainie z Johnem Belushim i historii o tym, jak to jego partie w scenariuszach często były opatrzone komentarzem „Robin improwizuje” w miejsce dialogów, za-

miast tego wszystkiego – subiektywny wybór dziesięciu najlepszych ról Robina Williamsa w kolejności chronologicznej. W małym hołdzie aktorowi, który zapewnił całemu pokoleniu kawał dzieciństwa i kawałek dorosłości.



Good Morning, Vietnam



Good Morning, Vietnam

1987

Kiedy widzi się ten tytuł, nie sposób nie usłyszeć w głowie tych słów z werwą wykrzykiwanych przez Williamsa. Rola Adriana Cronauera (postać prawdziwa) była dlań wręcz stworzona. Cronauer to spiker radiowy, który w ramach walki z cenzurą urozmaica poranne wiadomości celną satyrą, bezlitosnym komizmem i rock'n'rollem. Słuchacze-żołnierze go kochają, przełożeni, nie licząc jednego pocziwego generała, nie znoszą. Sytuacja komplikuje się wraz z rozwojem konfliktu w kraju. To pokaz wielkiego talentu, prawdziwy **tour de force** Williamsa, który w roli radiowca prowadził dialogi na kilka różnych głosów, prezentował prognozę pogody w stylu Himilsbacha, kpił z polityków (kapitałny, zręcznie zmontowany „wywiad” z Nixonem) i ujawniał hipokryzję armii. Większość radiowych monologów to improwizacje aktora zarejestrowane za pierw-

szym podejściem. Nic dziwnego, że nagrodzono go pierwszym w karierze Złotym Globem i pierwszą nominacją do Oscara. **Good Morning, Vietnam** dotyczy krwawego konfliktu, ale to zabawny komediodramat ze świetnym drugim planem (Bruno Kirby jako nudziarz-służbista przekonany o swoim **vis comica**) i nienachalnym, choć gorzkim komentarzem historycznym.

Stowarzyszenie umarłych poetów

1989

Niekonwencjonalne metody nauczania Johna Keatinga, na które składają się m.in. zachęcanie do stania na ławkach i wyrywanie kartek z książek, wyzwalają uczniów prestiżowej szkoły ze sztywnych, czarno-białych ram skostniałej instytucji. „Chłopcy, musicie starać się odnaleźć swój własny głos. Bo im dłużej zwlekacie, tym mniejsza szansa na to, że w ogóle go odnajdziecie. Thoreau powiedział, że większość ludzi żyje w cichej desperacji. Nie gódźcie

się na to. Zerwijcie okowy!” mówił Keating ciepłym głosem Williamsa w jednej ze scen. Jeden z uczniów zapłaci za wolność najwyższą cenę, zaś konsekwencje ponieś niepokorny belfer. Film Weira w pewnych kręgach ma już status kultowego. Podobno zainspirował też wiele karier nauczycielskich (acz nie ma pewności, czy słowo „kariera” jest tu na miejscu). Przekaz **Stowarzyszenia Umarłych Poetów** będzie ak-



Stowarzyszenie umarłych poetów



Aladyn

tualny tak długo, jak długo istnieć będą opresyjne formy edukacji czy władzy jako takiej. Końcowa scena, w której uczniowie Keatinga stają na ławkach i melodeklamują zwolnionemu z pracy nauczycielowi słynne słowa „o kapitanie, mój kapitanie”, należy do klasyki kina.

Fisher King

1991

Włóczęga Parry to rola dla Williamsa wymarzona. Zwariowany romantyczny kłoszard z tragiczną przeszłością. Współczesny błędny rycerz, który szuka Świętego Graala i drogi do serca zahukanej dziewczyny, urzekł krytykę i publiczności – aktor otrzymał za swoją rolę Złoty Glob i nominację do Oscara, a sam film uhonorowano Srebrnym Lwem na festiwalu filmowym w Wenecji. **Fisher King** opowiada o przyjaźni Parry’ego z byłym prezenterem radiowym, cynicznym Jackiem (Jeff Bridges), który niegdyś przyczynił się

do osobistej tragedii przyjaciela. Terry Gilliam, niegdysiejszy członek Monty Pythona, zrealizował film niezwykle – swego rodzaju wielkomiejską baśń dla dorosłych, w której dobro ostatecznie zwycięża, a siła przebaczenia sobie i innym goi stare rany. Sekwencja walca na nowojorskim dworcu Grand Central Terminal, kiedy Parry widzi Lydię, obiekt swoich westchnień, to jedna z najpiękniejszych scen w historii kina.

Aladyn

1992

Dla wielu jest to najlepsza kreacja Robina Williamsa, a mowa przecież o roli dubbingowej w filmie animowanym i to nawet nie pierwszoplanowej. Ale jako szalony, roztańczony Dżin cieszący się wolnością i pomagający tytułowemu bohaterowi, Williams rzeczywiście ukazał pełnię swojego komediowego geniuszu. Większość partii Dżina mówiącego z szybkością karabinu maszynowego była improwizowana.



Roger Ebert pisał w recenzji dla „Chicago Sun – Times”, że Robin Williams i animacja byli dla siebie stworzeni i wreszcie się spotkali. A sam **Aladyn** jest równie klasyczną produkcją co **Król Lew**. Film wywołał jednak protesty wśród społeczności arabskich, krytykujących zamerykanizowanie legendy i ukazanie niekorzystnego wizerunku świata Wschodu. Największy niepokój wzbudziła linijka „tu, gdzie odcinają ci ucho, jeśli im się nie spodobaś”, która ostatecznie została zmieniona przez korporację Disneya na niebudzący już kontrowersji tekst.

Pani Doubtfire

1993

Daniel Hillard, aktor trudniący się podkładaniem głosu w kreskówkach, ma kiepski dzień. Najpierw traci pracę,

a niedługo później jego żona, Miranda, żąda rozwodu. Decyzją sądu trójka dzieci Hillardów trafia pod opiekę matki. Daniel przeprowadza się do podługo mieszkanka. Zdesperowany eks-mąż robi wszystko, żeby przebywać z ukochanym potomstwem. Kiedy więc Miranda zamieszcza w gazecie ogłoszenie w poszukiwaniu gosposi, Daniel przybiera postać pani Doubtfire – brytyjskiej niani o nienagannych manierach i bezkompromisowych metodach wychowawczych, która jednak potrafi siarczyście zakłąć i skutecznie obronić się przed ulicznym złodziejaszkiem. W tej podwójnej roli Williams, z całą swoją nieco nieporadną, owłosioną fizycznością, dał brawurowy popis aktorstwa, nie gorszy niż Dustin Hoffman w **Tootsie**. Był zarówno zabawny, jak i poruszający, zaś sam film, nawiązujący



Pani Doubtfire



Być człowiekiem

do optymistycznego tonu kina Franka Capry, należy do grona klasyków lat 90. i panteonu kina komediowo-familijnego. Do tego stopnia, że kiedy słyszę **Dude Looks Like a Lady** Aerosmith, widzę panią Doubtfire grającą w piłkę.

Być człowiekiem

1994

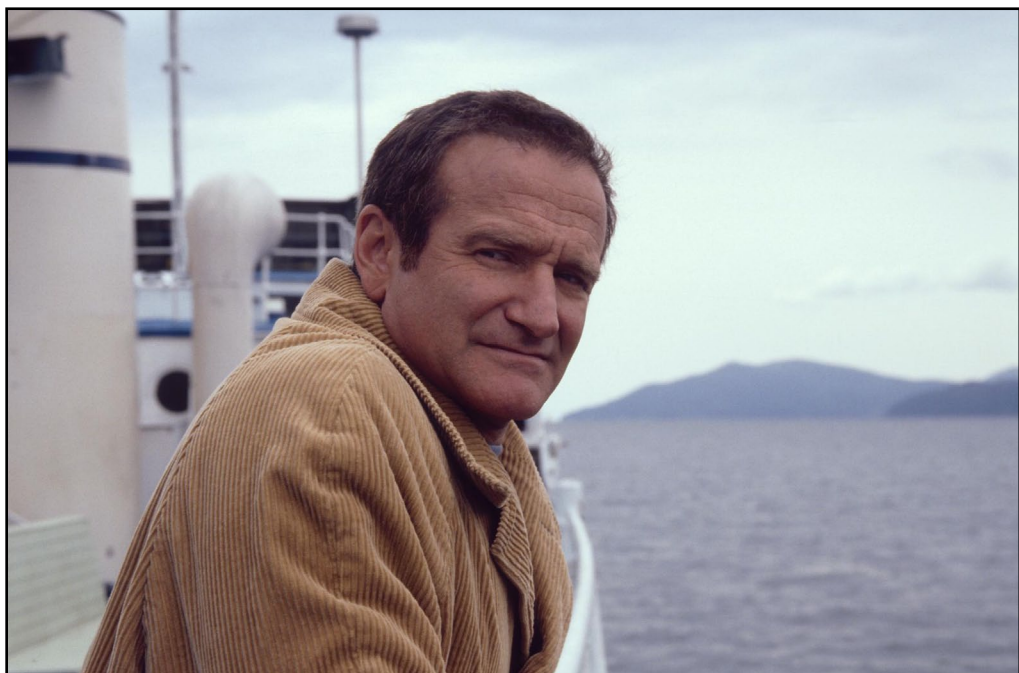
Jeden z mniej znanych filmów z Williamsem. Obok gwiazdora, będącego wówczas u szczytu kariery, przez ekran przewinęła się plejada gwiazd: John Turturro, Vincent D'Onofrio, Hector Elizondo, William H. Macy, Lorraine Bracco i Ewan McGregor w jednej ze swoich wczesnych ról. Ale sam film nie zebrał dobrych ocen i poniósł kasowe fiasko, przez co kreacja Williamsa nie zdobyła należnego uznania. Aktor wcielił się w postać everymana, a właściwie w pięć reinkarnacji niejakiego Hectora, którego dusza wędruje od początków ludzkości, poprzez starożytność i śre-

dniowiecze, aż po czasy nowożytne i współczesne. **Być człowiekiem** to powolna, filozoficzna przypowieść o miłości, pożądaniu, utracie, nadziei, beznadziei i – ostatecznie – o życiu i śmierci. Obraz ludzkości u Forsytha jest bezlitosny – choć czasy się zmieniają, popełniamy wciąż te same błędy – to jednak niepozbawiony ciepła i zrozumienia wobec losu zwykłych ludzi.

Buntownik z wyboru

1997

Nietypowy psychoterapeuta Sean Maguire (Williams) pomaga stanąć na nogi 21-letniemu Willowi (Matt Damon) – geniuszowi matematycznemu, który jest jednocześnie pracownikiem fizycznym i chuliganem z traumatycznym dzieciństwem. Stopniowo Maguire staje się dla Willa kimś w rodzaju ojca, którego chłopak nigdy nie miał. Spotkania są również formą terapii dla bezdzietnego psychoterapeuty zmagającego się



Bezszenność

z bólem po śmierci ukochanej żony. Cierpliwość, mądrość i dobroć, ale też swego rodzaju zwyczajność Maguire'a składają się na pełnokrwistą postać, którą Williams zagrał z godnością, spokojem i smutnym humorem. Czterominutowy monolog na ławce w parku to jedno z najbardziej pamiętnych osiągnięć aktora, który za swoją rolę został nagrodzony pierwszym i jedynym w karierze Oscarem.

Bezszenność

2002

Dokonania Williamsa, nawet te najzabawniejsze, zawsze były podszyte melancholią. Nawet przed jego śmiercią wydawało się, że zaistniały na styku rozpacz i rozbawienia. Ta swoista równowaga między komedią a dramatem stanowiła jedną z charakterystycznych

cech aktora. W **Bezszenności** artysta niemal całkowicie zrezygnował z elementów humorystycznych, tworząc jedną ze swoich najmroczniejszych kreacji. Walter Finch, autor tanich kryminałów, jest głównym podejrzanym w sprawie brutalnego zabójstwa 17-letniej dziewczyny na prowincji na Alasce. Śledztwu dowodzi Will Dormer (Al Pacino), który przybył tu wraz z partnerem ze słonecznego Los Angeles. Tragiczny wypadek sprawia, że mężczyźni wklęają się w skomplikowaną, niebezpieczną grę toczoną w scenerii malowniczego pustkowia, gdzie słońce świeci niemal przez całą dobę, potęgując u Dormera tytułową przypadłość. Gęsty, wciągający klimat filmu Nolana i sugestywne przełożenie objawów bezszenności na język kina, wsparte przez kapitalne aktorstwo, przyczyniły się do sukcesu

komercyjnego i artystycznego. O roli Williamsa pisano zaś, że od dawna nie miał lepszej. Jako wyciszony, zimny psychopata był naprawdę przerażający.

Zdjęcie w godzinę

2002

Równie nietypową rolę co w *Bezsensowności* wykreował Williams w debiutanckim filmie Marka Romanka, cenionego twórcy wideoklipów (m.in. niesławnego *Closer* Nine Inch Nails). Wysmakowana, utrzymana w chłodnej i oszczędnej tonacji strona wizualna nie przesłoniła wciągającej historii. Sy Parrish jest niepozornym, przeraźliwie samotnym pracownikiem zakładu fotograficznego, który popada w obsesję na punkcie szczęśliwej rodziny wywołującej u niego zdjecia. Parrish to postać nieodgadnio-

na, niepokojąca i ewidentnie niestabilna psychicznie, ale trudno z nią nie sympatyzować. Wielka w tym zasługa Williamsa, który zagrał oszczędnie, na półtonach – a jednak z ogromną siłą. Ostatecznie trudno orzec, czy Parrish to bezwzględny socjopata, czy boleśnie zagubiony desperat, który nie wie, co robi. Ten skromny, lecz trzymający w napięciu dreszczowiec spodobał się zarówno publiczności, jak i krytyce, która pisała o motywach jak z Hitchcocka. Dla niżej podpisanego kreacja Sy'a to najdoskonalsza, najbardziej dojrzała rola Williamsa.

Najlepszy ojciec świata

2009

Ktoś mógłby zapytać, dlaczego zamiast *Moskwy nad rzeką Hudson* czy *Świata*



Zdjęcie w godzinę

według Garpa na listę trafił ten skromny, niezależny film. Odpowiedź jest prosta – bo to jedna z najlepszych ostatnich kreacji Robina Williamsa i jego powrót do formy po kilku chudszych latach (kiepskie komedijki w rodzaju **Starych wyg** czy **Wielkiego wesela**). **Najlepszy ojciec świata** opowiada o licealnym nauczycielu imieniem Lance Clayton (Williams), który chciałby być uznanym i bogatym pisarzem, ale wydawcy odrzucili wszystkie jego książki i opowiadania. Lance jest rozwodnikiem samotnie wychowującym syna, Kyle'a – niezdolnego, socjopatycznego i aroganckiego nastolatka z obsesją na punkcie seksu i asfiksji autoerotycznej. Niespodziewany wypadek Kyle'a sprawi, że życie jego ojca zostanie przewrócone do góry nogami. Film jest komedią tak czarną, że momentami przechodzi w tragedię. Sporo tu absurdu oraz satyry na ludzką hipokryzję i mechanizm działania mediów. Lance

w wykonaniu Williamsa to postać tragiczna – bezradny ojciec łaknący sławy, gotów posunąć się do etycznie wątpliwych czynów, by osiągnąć cel. A jednak trudno z nim nie sympatyzować.

Aktor potrafił też zabłysnąć w epizodzie, tak jak wulgarny świadek w znakomitym dreszczowcu **Umrzeć powtórnie** Kennetha Branagha, tracący ostrość aktor w **Przejrzeć Harry'ego** Woody'ego Allena czy cierpiący na depresję gwiazdor w **Całym życiu z wariatami** Jonasa Pate'a (z perspektywy czasu jest to upiornie prorocza rola). Jeśli istnieje niebo, Robin Williams pewnie już tam jest, tuż obok Belushiego, Billa Hicksa i George'a Carlina.

Maciej Kaczmarski



Najlepszy ojciec świata

Dyskretny *urok* dorastania

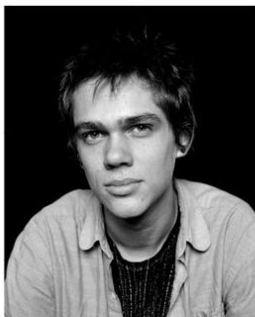
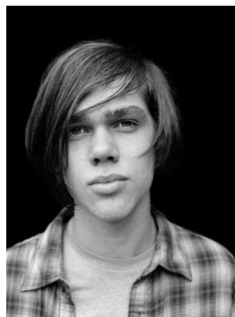
Gdyby kiedyś powstała definicja filmu kompletnego, **Boyhood** bez wątpienia spełniałoby większość wprowadzonych przez nią kryteriów. **Richard Linklater** jak mało który reżyser potrafi w swoich dziełach uchwycić coś na pozór banalnego, ale wyjątkowo trudnego do sportretowania – codzienne życie.

Twórczość 54-letniego filmowca dowodzi, że odnalazł on swoje miejsce gdzieś pomiędzy amerykańskim kinem mainstreamowym i jego nurtem niezależnym. Unika eksperymentalnych środków filmowych, ale wciąż opowiada w sposób charakterystyczny dla twórców indie. Jego historie rozwijają się niespiesznie, jednak od początku do końca angażują widza, który po zakończeniu seansu ma wrażenie, jakby rozstawał się nie z bohaterami filmowymi, a swoimi przyjaciółmi czy członkami rodziny. Kulminacją tego humanistycznego stylu jest właśnie **Boyhood**, będące czymś z pogranicza antropologicznego eksperymentu i kina rodzinnego.

Pierwsze sceny swojego opus magnum Linklater zaczął kręcić w maju 2002 roku, gdy odtwórca głównej roli, Ellar Coltrane, miał niespełna 8 lat, zaś ostatni klaps na planie tego filmu zapadł w sierpniu 2013 roku. Powstające



Boyhood
Richard Linklater



przez 11 lat dzieło zostało nakręcone w ciągu zaledwie 45 dni zdjęciowych, a ekipa filmowa co roku spotykała się, by sfilmować bohaterów zmieniających upływem czasu. Dzięki temu wspaniałemu eksperymentowi widzowie bodaj po raz pierwszy mogą poczuć prawdę ekranu w filmowej fikcji. **Boyhood** to opowieść o dorastaniu, w której główny bohater rzeczywiście dorasta, zmieniając się na oczach widzów. Zmieniają się także wszyscy wokół – Ethan Hawke z 32-letniego lekkoducha zmienia się w dojrzałego mężczyznę, a atrakcyjna mama protagonisty zmienia się w doświadczoną kobietę sukcesu.

Widzowie obserwują, jak niewinność 8-letniego Masona przeradza się w nastoletni bunt, jak ze sporadycznych kontaktów z dziewczętami wykuwa się seksualna ciekawość.

Dojrzewający bohater eksperymentami i alkoholem znajduje artystyczną pasję, doznaje pierwszych miłosnych zawodów, ucząc się funkcjonowania w dość skomplikowanej sytuacji rodzinnej. Linklaterowi udało się stworzyć historię o dorastaniu, w której trudno dostrzec słabe punkty. **Boyhood** to jak połączenie uwielbianego niegdyś serialu **Cudowne lata z 400 latami** Truffaut, w którym beztraska amerykańskich przedmieść skonfrontowana jest z koniecznością formułowania oczekiwań wobec życia. Mason obserwuje błędy swoich opiekunów, starając się wyciągnąć wnioski tylko po to, by z podobną bezzadnością stać wobec wyborów, które czekają na niego u progu dorosłości.

Historia opowiadana przez Linklatera nie może być traktowana jako uniwersalna przypowieść, gdyż niezwykle



mocno zakorzeniona jest w amerykańskim kontekście. Czyni to z niej prawdziwy podręcznik jankeskiej mentalności i kronikę pierwszej dekady XXI wieku w USA. Reżyser wkracza tym samym na zupełnie inny, nieosiągalny dla wielu reżyserów poziom realizmu. Dzięki temu zwłaszcza widzowie w Stanach mogą utożsamić się z bohaterami i wspominać, gdzie byli, gdy np. nowym prezydentem ogłoszony został Barack Obama. Narracja Linklatera pozostaje na wskroś humanistyczna, zorientowana na uczucia i przeżycia bohaterów – nieco idealizowanych, ale bardzo wiarygodnych i bliskich życiu.

Trudno dziś wyrokować, czy **Boyhood** będzie najwspanialszym filmem w dorobku Richarda Linklatera, który ma przecież na koncie m.in. doskonałą trylogię o jednej z najbardziej romantycznych par w historii kina (**Przed wschodem Słońca, Przed zachodem Słońca, Przed północą**). Bez cienia wątpliwości można jednak stwierdzić, że pochodzący z Teksasu reżyser stworzył dzieło, które jest pochwałą zwykłego życia, jakiej w kinie od dawna nie było i jeszcze długo może nie być.

Dawid Mysliwiec



Kurtyna, która opadła zbyt wcześnie

Długo nie był brany pod uwagę jako aktor, który byłby w stanie udźwignąć ciężar roli pierwszoplanowej. Nie tylko ze względu na swoją urodę, która daleka była od wizerunku amanta, ale także przez to, że miał dar tworzenia charakterystycznych kreacji drugiego planu. Jednak gdy już otrzymał angaż do głównej roli, od razu przypieczętował ją Oscarem. Często grywał postaci skomplikowane, niespokojne, którym trudno było żyć we własnej skórze. Jak się okazuje, **Philip Seymour Hoffman**, który w wieku niespełna 47 lat wprowadził do swojego organizmu śmiertelną mieszaninę narkotyków, nie różnił się wiele od postaci, w które się wcielał.



Philip Seymour Hoffman

Stwierdzenie, że urodzony w Fairport w stanie Nowy Jork aktor wcielał się głównie w neurotyków, byłoby jednak sporym nadużyciem. Wystarczy przypomnieć, że po oscarowej kreacji w ***Cape*** Bennetta Millera wcielił się w demonicznego złoczyńcę w trzeciej części serii ***Mission: Impossible***, a w 2007 roku zachwycił rolę rzutkiego agenta CIA w ***Wojnie Charliego Wilsona***. Mimo swej słusznej postury – Hoffman był niewysoki, ale korpulentny – nieczęsto bywał zatrudniany do ról jowialnych lekkoduchów. Przyczyna była prosta – w aktorskim anturazie Philipa tkwił pewien niewypowiedziany mrok, jakiś dojmujący smutek, którego nie przykrywały nawet częste i pocziwe uśmiechy artysty. W jednym z wywiadów z 2006



Capote

roku Hoffman przyznał, że w wieku 22 lat przeszedł odwyk – wcześniej pił i ćpał, zażywając, jak sam przyznał, wszystko co wpadło mu w ręce. Czy to demony nałogów ścigały go przez całą karierę, predysponując do ról skonfliktowanych wewnętrznie, autodestrukcyjnych bohaterów? W świetle informacji o śmierci Philipa, potwierdzającego tragiczny powrót do uzależnienia po ponad dwóch dekadach, ta hipoteza staje się bardzo wiarygodna.

Anderson, bracia Coen, Kaufmann, Lumet, Nichols – nazwiska reżyserów, którzy zaufali aktorskiemu talentowi bladoliciego Philipa, z powodzeniem można odnaleźć w rankingach najbardziej uznanych i szanowanych filmowców Hollywood. Szczególnie pierwszy z wymienionych, Paul Thomas Anderson, darzył go rzadko spotykanym zaufaniem. Hoffman wcielał się w bohaterów pięciu z sześciu pełnometrażowych

fabuł tego twórcy, od niewielkiej roli w **Ryzykancie** po pierwszoplanową postać lidera sekty w **Mistrzu**. Już suma efektów tej współpracy, prawdziwy kalejdoskop różnorodnych filmowych wcieleń, świadczy o niezwyklej aktorskiej wszechstronności, a przecież jest to jedynie wycinek bogatego dorobku Hoffmana. Przez ponad dwie dekady zagrał on w blisko 60 filmach pełnometrażowych, współtworzył kilkanaście przedstawień na Broadwayu, a w ostatnich latach życia zdążył także zadebiutować jego reżyser. O tym ostatnim fakcie z jego biografii, wobec ograniczonej dystrybucji jedynego wyreżyserowanego przez Philipa Seymoura filmu, wie pewnie niewielu.

Niewątpliwą przyjemnością obcowania ze wspomnianym debiutem mieli w 2011 roku widzowie drugiej edycji wrocławskiego American Film Festivalu. Nakręcony w 2010 roku **Jack Goes**

Boating to niezwykle ciepła, pokrzepiająca historia neurotycznego kierowcy limuzyny, który dla nowo poznanej kobiety rozpoczyna lekcje pływania i gotowania, chcąc zabrać potencjalną wybrankę na rejs łódką i ugotować jej wspaniałą kolację. Przenosząc na duży ekran rolę, którą odtwarzał wcześniej w teatrze, Hoffman stworzył bodaj najbardziej subtelną kreację w karierze, a jego Jack – niezdarny, ale dobroduszny pocziwiec – jest być może postacią najbliższą samemu artyście. Ta jedna rola, samotna, nieśmiało pozytywna i krucha łódka na oceanie skomplikowanych, posępnych bohaterów, wyróżnia się na tle jego dwudziestoletniego dorobku. Czyżby P.S. Hoffman musiał sam stanąć za kamerą, by wydobyć z siebie bardziej wrażliwą, optymistyczną stronę swego aktorskiego ego?

W jednym z wywiadów powiedział: „Ambicja, energia do działania, chęć bycia w centrum zainteresowania, chęć osiągnięcia sukcesu... To wszystko gdzieś we mnie tkwi”. Nikt nie może

dziś wątpić, że ten sukces osiągnął, zawdzięczając go jasno sprecyzowanej etyce pracy. Liczne były jego wypowiedzi na temat podejścia do zawodu aktora, który często przedstawiał jako wyjątkowo trudną i odpowiedzialną profesję. Hoffman niejednokrotnie podkreślał, że aktorstwo to rodzaj powołania – takiego, które jest swoistym emocjonalnym masochizmem, nieustanną introspekcją i autointerpretacją. Czytając wywiady z aktorem, łatwo można odnieść wrażenie, że praca w filmie i teatrze była dla niego ciężarem oraz męczącym obowiązkiem. Jednak prawda wydaje się być inna. O aktorstwie mówił chętnie i dużo, gdyż w ten sposób usiłował walczyć słowami ze stereotypem aktora-gwiazdora, którym przecież nigdy się nie stał. „Widzowie poddadzą się aktorowi, gdy uwierzą, że to, co oglądają, jest prawdą” – mówił, opisując swoje przygotowania do arcytrudnej roli Trumana Capote’a, która wymagała od niego wielu miesięcy przygotowań, by



Wojna Charliego Wilsona





Mistrz

oddać na ekranie specyficzny sposób bycia i mówienia legendarnego autora. Ta wiarygodność była jedną z najważniejszych cech jego aktorstwa.

Równie przekonująco wypadł zarówno jako genialny i ekscentryczny pisarz, jak i zmanierowany młody bogacz, zaś w autentyczność jego kreacji nie można było zwątpić nawet wtedy, gdy wcielał się w drag queen w ***Bez skazy*** Joela Schumachera. Choć przyznawał, że niekiedy zmuszony był przyjmować propozycje zawodowe ze względów finansowych, w jego filmografii trudno odnaleźć słaby punkt. Nawet gdy film, w którym występował, nie był najwyższych lotów, jak choćby wspomniany wcześniej ***Mission: Impossible III***, jego kreacja broniła się sama. Grę Hoffmana wyróżniał pewien szczególny rodzaj godności – choć jego aparycja w niektórych wcieleniach była odpychająca, nadawał swoim postaciom szlachetny szlif. Znakomitym przykładem zastosowania tej umiejętności jest rola Cade-na Cotarda w ***Synekdocha, Nowy Jork***

Charliego Kaufmana, bodaj najbardziej ekscentryczna produkcja, w której wystąpił P.S. Hoffman. W debiucie reżyserskim słynnego scenarzysty zagrał dramaturga zmagającego się z kryzysem twórczym i osobowościowym, który mimo zagubienia próbuje zachować resztki swej tożsamości. Widz czuje do tej postaci ogromną sympatię, choć zrozumienie jej nie należy do łatwych zadań. Film Kaufmana to też świetny przykład zawodowej odwagi Hoffmana, który, podejmując decyzje dotyczące jego kariery, nie obawiał się ryzyka i często angażował się w projekty niezależne, nierokujące finansowo. Po występie w trzeciej części blockbustera o przygodach Ethana Hunta zagrał w kameralnym dramacie ***Rodzina Sav-
vage***, zaś pomiędzy kolejnymi odsłonanami sagi ***Igrzysk śmierci*** znalazł czas, by wcielić się w głównego bohatera w debiucie reżyserskim Johna Slatte-ry'ego ***God's Pocket***. Nie uległ pokusie gromadzenia bajecznej fortuny, za co widzowie mogą mu tylko podziękować



– dzięki temu jego filmografia przypomina szkatułkę pełną kosztowności, w której każdy egzemplarz jest niezależnym dziełem sztuki.

Jego śmierć była ogromnym szokiem dla środowiska filmowego na całym świecie. Regularnie występował w dużych produkcjach kinowych, dopiero co wrócił z festiwalu w Sundance, na którym premierę miały dwa filmy z jego udziałem, a do kin wejdą jeszcze dwie kontynuacje **Igrzysk śmierci**, w których wciela się w Plutarcha Heavensbee. Kariera, która zaczynała się w 1991 roku w... Polsce, gdzie na planie **Szulera** Adka Drabińskiego Hoffman

uprawiał seks z Ewą Gawryluk, została przerwana nagle i przedwcześnie. W tkance Hollywood powstała ogromna wyrwa, którą trudno będzie zapęłnić. W pokoleniu czterdziestokilkuletnich aktorów próżno szukać artysty tak uniwersalnego, który prowadziłby swoje życie zawodowe z klasą i odwagą. „Przebywanie w moim towarzystwie nie jest przyjemne” – przyznał kiedyś Hoffman. Nawet jeśli rzeczywiście tak było, widzowie na całym świecie mówią wspólnym głosem: będzie nam brakować Twojego towarzystwa, Phil.

David Mysliwiec



PREMIERY

książkowe

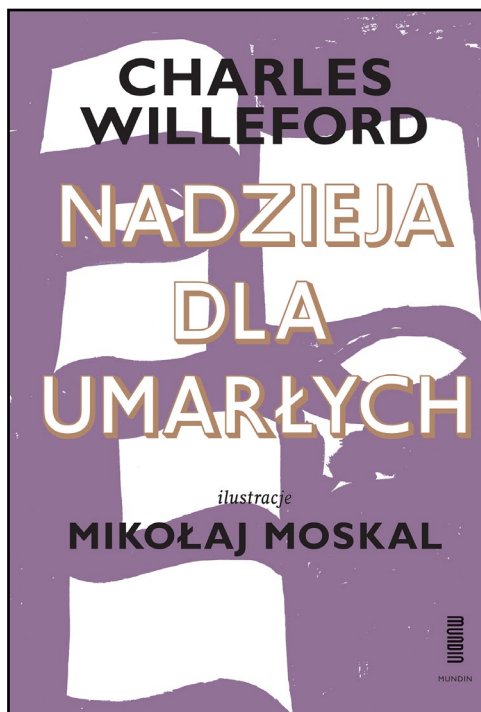
#powieść kryminalna

Charles Willeford

Nadzieja dla umarłych

Druga opublikowana w Polsce książka Willeforda to kryminał ze sporą dawką humoru, zawierający liczne komplikacje i wiele wątków, które prowadzą do wspólnego celu. Detektyw Hoke wraz z latynoską partnerką prowadzi dość łatwe śledztwo w sprawie domnie-manego samobójstwa młodego nar-komana. Aby zwiększyć swoje szanse na awans, ich zwierzchnik przydziela im dodatkowo tajne zadanie zajęcia się nierozwiązanymi sprawami sprzed lat. Co dziwne i niespodziewane, wkrót-ce, dzięki zbiegowi okoliczności, uda-je im się rozwiązać jedną z zagadek. Hoke wciąż jednak węszy w sprawie samobójcy, bo coś nie daje mu spo-koju (najbardziej macocha chłopaka, którą ma nadzieję zaciągnąć do łóżka). Wszystko komplikują prywatne kłopoty policjantów.

Książkę po samą okładkę wypeł-niają liczne wątki sensacyjne i oby-czajowe, które składają się na portret amerykańskiego gliniarza pracującego w mieście okrytym złą sławą. To po-wieść dostarczająca inteligentnej roz-rywki. Lekka, ale niegłupia, przyjemna,



lecz niebanalna. Polskie wydanie wyróżnia się szatą graficzną – powieść zilustrował Mikołaj Moskal.

#reportaż #nekrofil #morderca

Waldemar Ciszak, Michał Larek

Martwe ciała

Martwe ciała to reportaż opisujący działalność i proces nekrofila i mordercy z Poznania. Jako że dotychczas nie powstała żadna odrębna publikacja na temat sprawy, która na początku lat osiemdziesiątych bulwersowała mieszkańców Wielkopolski, autorzy postanowili zebrać dostępne informacje i dotrzeć do osób, które miały styczność z oskarżonym Edmundem Kolanowskim. Ten zapisał się w annałach kryminalistyki swoim modus operandi oraz nietypowym zboczeniem, które popchnęło go do nekrofilii oraz morderstw w celu pozyskania podniecających go części kobiecego ciała.

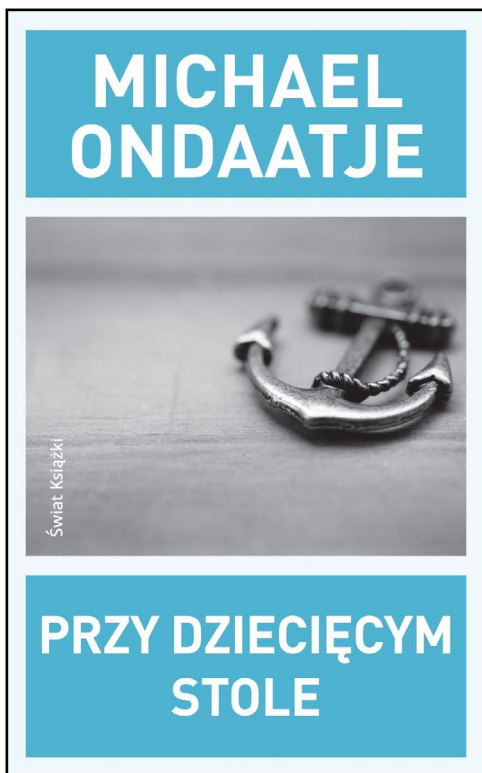
Chwilami książka jest obrzydliwa, tak jak obrzydliwe były poczynania Kolanowskiego. Opisy tego, co robił ze zwłokami, choć nie są bardzo szczegółowe, za sprawą wyobraźni czytelnika ożywają przed oczami. Trzeba być gotowym na mocne przeżycia, gdy czyta się ten reportaż, a jest on bardzo ciekawie napisany, konkretny, pozbawiony zbędnych opisów, dłużyzn i wątków pobocznych.

#powieść #literatura obca

Michael Ondaatje

Przy dziecięcym stole

Autor zapisał się w pamięci czytelników powieścią **Angielski pacjent**. **Przy dziecięcym stole** dotyczy innego eta-



pu życia człowieka. Narratorem jest jedenastoletni chłopiec, Michael, który wyrusza w trzytygodniową podróż statkiem z Cejlonu do Londynu bez opieki osoby dorosłej. Taka podróż jest dla chłopca wielką przygodą. Sam statek jest miejscem spotkań osób, których drogi w innym wypadku nigdy by się nie przecięły. Podróżuje nim m.in. więzień, trupa kuglarzy, niesłysząca dziewczyna, botanik i złodziej.

To nieco nostalgiczna opowieść o dzieciństwie, dorastaniu i o tym, że będąc dzieckiem, trudno ocenić niektóre sytuacje, a ich sens dociera do człowieka dopiero po latach. Powieść wyróżnia mnogość opowiedzianych historii, ludzkich charakterów i wydarzeń stawiających dorastających bohaterów na pograniczu dzieciństwa i dorosłości. Na uwagę zasługuje styl i język powieści.

#powieść kryminalna

Ian Rankin

Stojąc w cudzym grobie

John Rebus, bohater książek Rankina, przeszedł już na emeryturę. Nie spędza jej, siedząc na fotelu i słuchając płyt. Podejmuje pracę w policji jako cywil w wydziale zajmującym się zamkniętymi sprawami. Tam właśnie odnajduje go matka zaginionej wiele lat temu dziewczyny i kieruje jego uwagę na kolejne podobne przypadki zaginięć młodych kobiet w okolicy głównej trasy prowadzącej na północ. Rebus bez przekonania i dla świętego spokoju próbuje połączyć wskazane sprawy. Gdy okazuje się, że coś w tym może być, zostaje gościnnie zaproszony przez starą przyjaciółkę, Siobhan Clarke, do

Skala ocen:

Sto lat samotności

Miasto grzechu

Cień wiatru

Gra w klasy

Czas jest najprostrzą rzeczą

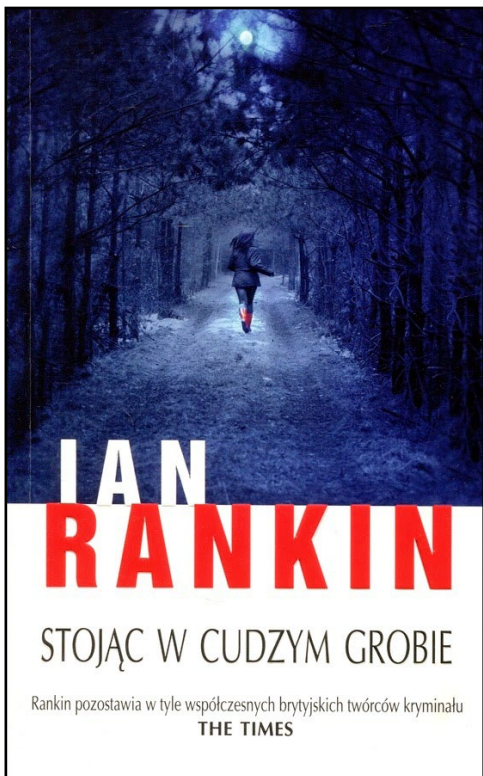
Moja walka...

Kronika sportowa

Paulo Coelho

**
Żegnaj laleczko

*
Czas pogardy



pracy w zespole, gdzie może wykazać się swoją wiedzą i doświadczeniem w związku z najnowszym zaginięciem nastolatki.

Przy tej książce nie patrzy się na zegarek i nie liczy czasu. Oprócz oczywistych zalet – czyli osoby głównego bohatera – Rankin prezentuje bardzo ciekawą, skomplikowaną i trzymającą w napięciu fabułę kryminalną. Postacie drugoplanowe są istotne dla rozwoju akcji i zostały obdarzone unikalnymi cechami, wielokrotnie zmieniając bieg zdarzeń. Uwagę zwraca niedopasowanie starego policjanta do nowych porządków w policji i jego kontrowersyjne metody śledcze. Doskonała rozrywka i wspaniały powrót jednego z ulubionych detektywów.

#powieść obyczajowa

Joyce Maynard

Ostatni dzień lata

Jest długi weekend, ostatni przed rozpoczęciem roku szkolnego. Media ostrzegają przed falą upałów. Trzynastoletni Henry mieszkający na uboczu miasteczka namawia mamę na zakupy w markecie. Tam właśnie spotykają Franka, więziennego zbiega, który potrzebuje ich pomocy. Mama Henry'ego, nie zadając zbędnych pytań, postanawia zaopiekować się mężczyzną, choć domyśla się konsekwencji tej decyzji.

Świetny pomysł na fabułę i równie dobre wykonanie. Akcja zdaje się rozwijać powoli, tym bardziej, że oglądamy ją z punktu widzenia chłopca, który zdarzenia interpretuje na swój sposób. To subtelna powieść o miłości i trudach dorastania oraz o tym, że najlepiej słuchać swojego serca, nie



poddając się podszeptom „życzliwych”. Duszna atmosfera książki podsycana jest informacjami o rekordowych upałach, tłumionym erotyzmem, który wreszcie musi znaleźć ujście, oraz nieuchronnością dramatycznych wydarzeń.

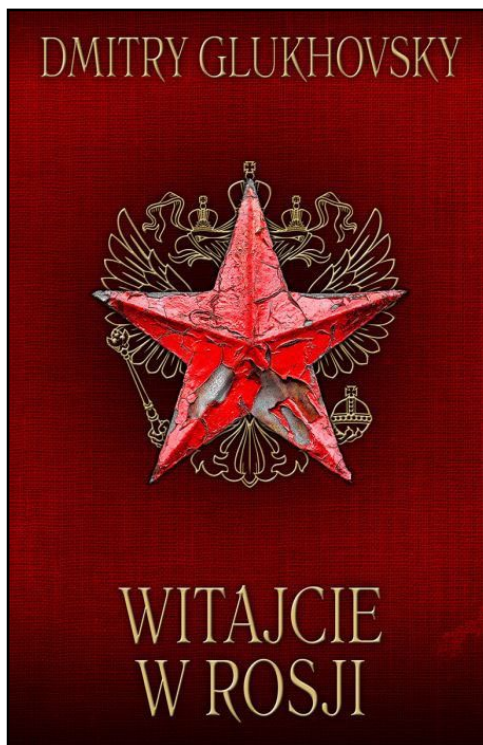
#opowiadania #fantastyka

Dimitry Glukhovsky

Witajcie w Rosji

Dimitry Glukhovsky, popularny pisarz znany na całym świecie z serii Metro 2033, w tej książce odchodzi nieco od konwencji, do której przyzwyczaił swoich czytelników. Na warsztat wzięł Rosję i Rosjan i napisał o nich przesyczone sarkazmem opowiadania.

Ich forma na pierwszy rzut oka jest lekka, miła i przyjemna – w końcu to fantastyka. Jednak po chwili zaczyna nas coś uwierać, rzeczywistość uparcie wypływa ponad fantastyczne czary-mary. W opowiadaniach co prawda pojawiają się kosmici i różne zjawiska nadprzyrodzone, ale niczym nie da się zamaskować smutnej i przerażającej prawdy o współczesnej Rosji. Autor pochyla się nad takimi tematami jak: medialny kult jednostki, wyzysk robotników przywożonych z najdalszych rubieży kraju, łapówkarstwo, programowe niszczenie prawych i uczciwych, samowola zamożnych. Glukhovsky wydaje się być rozczarowany swoim państwem, jest krytyczny w stosunku do niego i zauważa to, co wielu Rosjan po prostu zaakceptowało. Ta pozornie lekka lektura sprawia, że czytelnik częściej otwiera szeroko oczy ze zdziwienia, niż uśmiecha się pod wpływem



zgrabnie przemyślanej puenty czy fabularnego rozwiązania.

#biografia

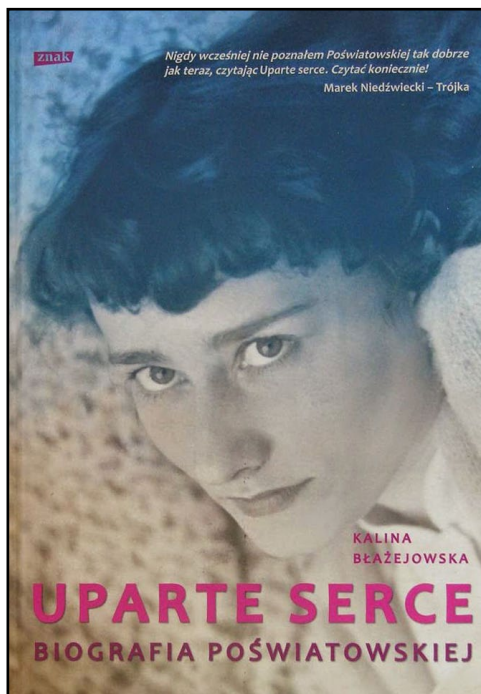
Kalina Błażejowska

Uparte serce.

Biografia Poświatowskiej

O Poświatowskiej wiemy, że młodo umarła na serce, pisała sporo erotyków, a na zdjęciach zwykle jest smutna. Kalina Błażejowska wykonała kawał dobrej roboty, by pokazać Poświatowską jako człowieka, którego można polubić lub wręcz przeciwnie, lecz nie można wobec niego pozostać obojętnym. Zbeletryzowana biografia opiera się na wielu źródłach – listach, dokumentach, wycinkach z gazet, wspomnieniach osób, które znały poetkę. Tam, gdzie autorka uznała to za słuszne, zastosowała dialogi, w innych miejscach są cytaty z listów, jeszcze w innych fragmenty wierszy, które powstały pod wpływem jakiegoś wydarzenia. Nie ma dłużyzn, nie rozwija się wątków pobocznych, a przedstawione wydarzenia mają duże znaczenie i pokazują bohaterkę z różnych perspektyw.

Upartemu sercu daleko do laurki. Okazuje się, że poetka była kapryśna, kochliwa, często egoistyczna, złośliwa. Oczywiście jest wiele przykładów na to, że była również wielkoduszna, rodzinna, sumienna, uparta, pracowita, ambitna. O wnikliwości Błażejowskiej oraz umiejętności przedstawienia bohaterki świadczy to, że po zapoznaniu się z biografią można mnożyć w nieskończoność przymiotniki opisujące Poświatowską.



#powieść kryminalna

Rafael Estrada

Co mówią umarli

Na plaży w okolicy Kartageny znaleziono ciało zaginionej nastolatki. Dziewczyna została zgwałcona i okaleczona przed śmiercią. Ze względu na to, że wieczór spędzała w towarzystwie chłopaka, logicznym było przypisanie mu winy. Równie oczywistym było przekazanie tej prostej sprawy w ręce najmłodszego i najmniej doświadczonego policjanta w zespole. Rola Juanita Proezy miała polegać na przesłuchaniu podejrzanego, napisaniu raportu i skierowaniu sprawy na drogę prawną. Ten jednak nie daje wiary podejrzeniom i podchodzi do zadania z otwartą głową i mnóstwem dobrych chęci. Zeznania chłopaka kierują jego uwagę na twórczości Nabokova i Klub Lolity – miejsce zrzeszające samych mężczyzn, dżentelmenów będących śmietanką towarzyską miasta.

Estrada napisał wyjątkowo toporny kryminał – kiepska jest i zagadka kryminalna, i sposób poprowadzenia akcji. Autor nie wysilił się zbyt, nie stworzył żadnych pobocznych wątków ani podejrzanych. Nitka wiedzie wprost do celu i tylko kwestią czasu jest domyślenie się motywu zbrodni oraz sposobu jej popełnienia. Nie wystarczy powołać się na znanego autora i jego najbardziej popularne dzieło, by utrzymać przy sobie czytelników.



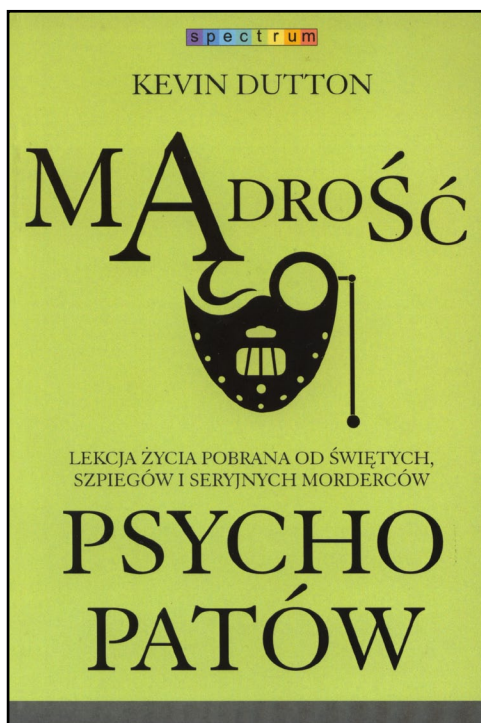
#psychologia

Kevin Dutton

Mądrość psychopatów

Podtytuł tej książki ***Lekcja życia pobrana od świętych, szpiegów i seryjnych morderców*** przybliża nas do tezy, jaką stawia autor, próbując udowodnić, że bycie psychopatą nie jest najgorszym, co mogłoby nas spotkać – przynajmniej w niektórych sytuacjach i zawodach. Cechy takie jak: bezwzględność, koncentracja, odporność psychiczna, nieustraszeność są pożądane przez wielu z nas. Strasznie robi się dopiero wtedy, gdy cechy te zaczynają dominować nad rozsądkiem, sumieniem i empatią.

Dutton dotarł do osób, które w specjalistycznych testach osiągnęły wysoki poziom cech psychopatycznych – agentów służb specjalnych, biznesmenów, chirurgów, prawników. W ich zawodach łatwiej jest tym, którzy potrafią wyłączyć emocje i skoncentrować się na celu. Co odróżnia ich od psychopatycznych morderców? Fakt, iż potrafią przełączyć się na normalny tryb, gdy wychodzą z pracy. Obrazowo mówiąc, różni ich tylko przełącznik, który nie działa u osadzonych w zakładach zamkniętych. To pozycja popularnonaukowa, więc chwilami natykamy się na język fachowy, jednak większość książki napisana jest przystępnie, obfituje w przykłady, opisy eksperymentów i dość toporne próby rozśmieszenia czytelnika. Tak, autor nieco błaznuje. Nie zmienia to faktu, że próba udowodnienia słuszności tezy postawionej na wstępie udaje mu się wyśmienicie.



#powieść psychologiczna

Annelies Verbeke

Śpij!

Szczęśliwi ci, którzy nie wiedzą, co to bezsenność. Maya, nie pamięta już, jak to jest być wyspaną. Od dłuższego czasu cierpi na bezsenność, na którą nie pomagają rady znajomych ani leki. Rozdrażnienie wynikające z niewyspania sprawia, że nie wytrzymują ani przyjaźnie, ani związek. Podczas jednej z nocnych wypraw poznaje Benoit, dużo od niej starszego mężczyznę, który zмага się z podobnym problemem. Ta opowieść o dwóch życiowych rozbitkach nie tyle nakreśla problem bezsenności, co zagubienia we współczesności. Zmęczenie i niewyspanie jest katalizatorem zachowań, które powszechnie uznawane są za niedopuszczalne, niemoralne lub dziwne. Kłopoty materialne, nieumiejętność bycia w związku, zachwiane relacje interpersonalne stawiają Mayę w gronie wyrzutków.

Śpij! to niepokojąca lektura. Bohaterowie budzą niechęć. Powieść przedstawia świat pod mocno powiększającą lupą, gdzie już zacierają się kontury rzeczy, lecz doskonale widać nagromadzony na ich powierzchni brud, wobec czego na pewno nie jest to książka, którą się lubi. A jednak po przeczytaniu trudno o niej zapomnieć.

Opracowała: *Agnieszka Kalus*



Kim zostaniesz, *jak będziesz duży?*

„Ten to ma dobrze!” – mówimy często z zazdrością i żałujemy, że zabrakło nam motywacji, talentu, odwagi, by wybrać zupełnie inny zawód. Zdarza się oczywiście, że czasem mówimy „za żadne skarby nie zamieniłbym się miejscami” i zastanawiamy się, co może skłonić człowieka do wyboru zawodu niecieszącego się społecznym uznaniem. Dobra wiadomość jest taka, że istnieją książki, które ostudzą waszą zazdrość, pokazując nieznanie oblicze niektórych pożądaných zawodów oraz dobrą stronę tych, których raczej sami byście nie wybrali.

Kto ci napłut do talerza

Najpopularniejszym demaskatorskim cyklem jest seria **Babylon** autorstwa Imogen Edwards-Jones. Pisarka przy współpracy anonimowego współnika, byłego lub aktualnego przedstawiciela opisywanej profesji, przedstawia 24 godziny z życia wybranej instytucji lub firmy. Książek tego typu powstało sporo. Ta pod tytułem **Restauracja Babylon** pokazuje działalność lokalu gastronomicznego uhonorowanego prestiżową gwiazdką Michelin. Oglądamy ją z punktu widzenia właściciela i menadżera w jednej osobie. Na jego dzień składa się użeranie z zapatrzonym w siebie szefem kuchni, roszczeniowymi klientami i niesolidnymi dostawcami. Musi być wciąż na stanowisku, by w zarodku zgasić wszelkie punkty zapalne zarówno w sali

restauracyjnej, jak i na zapleczu. Jego dzień pracy nigdy się nie kończy, co przy odpowiednim nastawieniu można zaakceptować i polubić. Gorzej, że praktycznie każdego dnia dzieje się coś niezwykle i wymagającego szybkiej reakcji i opanowania. Na marginesie dodam, że z książki dowiedzie się też, kto pluje wam do talerza i za co najwięcej przepłacacie, wybierając się do drogiej restauracji.

Same wyjątkowe przypadki

Szpital Babylon to straszna, a jednocześnie zabawna opowieść o oddziale pomocy doraźnej przy szpitalu w jakimś wielkim mieście. Machina szpitalna narzuca zatrudnionym tam lekarzom wyśrubowane normy i określa czas, jaki powinni poświęcić jednemu pacjentowi. Nie dziwi więc, że personel



podrzuca sobie chorych, starając się pozbyć nadmiaru obowiązków. Stres, tempo pracy, wysokie wymagania i oczekiwania, odpowiedzialność za życie pacjentów i przemęczenie sprawiają, że wielu z nich jedzie na wspomagaczach i szuka okazji do zabawy. Tą może być coś tak trywialnego jak tatuaż na wzgórku łonowym nieprzytomnej pacjentki. Uwagę czytelnika przykuja fragmenty, w których opisywane są nietypowe przypadki trafiające do izby przyjęć oraz te, z których dowie się, jakie panie przechodzą najbardziej szczegółowe badania. Zdaje się, że staż w opisywanym szpitalu przetrwają tylko najwięksi ekstrawertycy z nieludzką odpornością na zmęczenie i stres.

Praca marzeń

Wydawać by się mogło, że nie ma lepszej pracy niż ta opisana w **Plaży Babylon**. Zarządzanie luksusowym kurortem położonym na jednej z bajecznie pięknych wysp na Pacyfiku nie może mieć

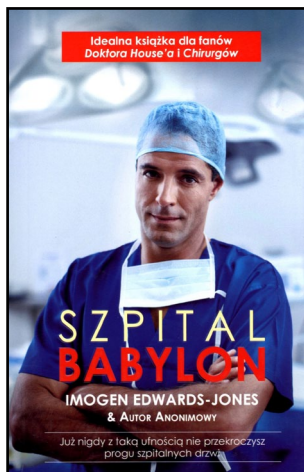
wad. Nic bardziej mylnego – ta praca składa się przede wszystkim z wad. Jedyną niepodważalną zaletą są widoki za oknem, lecz aby je podziwiać, trzeba mieć na to czas. Dostawy jedzenia czasem przybývają z opóźnieniem lub w ogóle nie docierają do tego odległego zakątka ziemi. Goście zostawiający na wyspie dziesiątki tysięcy dolarów, którzy na co dzień przyzwyczajeni są do luksusów i stawiają niemożliwe do spełnienia wymagania. Każdego dnia przed szefem zespołu piętrzą się nowe problemy i sprawy do rozwiązania, a najwięcej ich pojawia się podczas deszczowej pogody, gdy goście się nudzą. **Plaża Babylon** to dowód na to, że praca marzeń nie istnieje, a pieniądze nie czynią człowieka szczęśliwym ani nawet zadowolonym z wakacji.

Nie czytać w samolocie

Air Babylon zwodzi okładką – lecący samolot w tym przypadku nie zapowiada sielanki. Wbrew pozorom nie jest to



Imogen Edwards-Jones
Restauracja Babylon



Imogen Edwards-Jones
Szpital Babylon



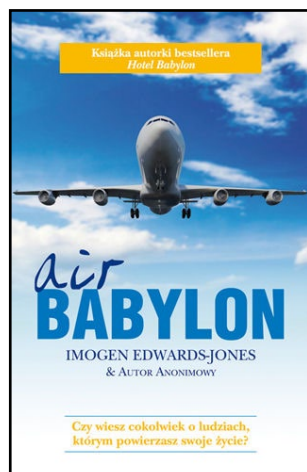
Imogen Edwards-Jones
Plaża Babylon

książka wakacyjna, a czytanie jej w podróży samolotem może skończyć się atakiem paniki. Na kartach tego wydawnictwa stopniowo odkrywamy tajniki działalności lotniska i niewielkiej linii lotniczej. Opowiada menadżer, który w swojej pracy zetknął się z setkami dziwnych i niezwykle przypadków na terenie lotniska i w powietrzu. Za niektóre z kryzysów odpowiadają pasażerowie, za inne załoga, która niekończący się jet-lag zapija alkoholem. Nietrudno się domyślić, że sprzyja to różnym eks- i sekscesom, co stawia bezpieczeństwo lotu pod dużym znakiem zapytania. Bycie menadżerem na lotnisku to ciężka harówka i wielka odpowiedzialność za pasażerów oraz członków załogi. Czy tańsze loty są wystarczającą nagrodą za stres, presję i odpowiedzialność?

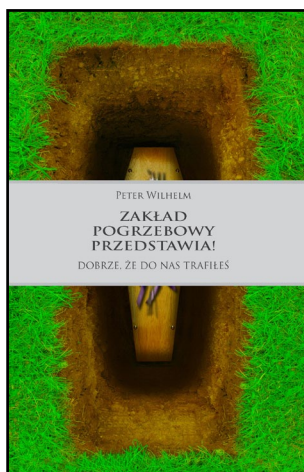
Druga strona medalu

Wszyscy znamy takie zawody, które nie kuszą ani prestiżem, ani zarobkami, i zastanawiamy się, kto i dlaczego

decyduje się je wykonywać. Nie znając dokładnie specyfiki pracy, nie umiemy wymyślić ani jednej zalety ich wykonywania. Mrok niewiedzy rozjaśnia książki, w których do głosu dochodzą przedstawiciele dziwnych profesji. Jedną z nich nosi tytuł **Zakład pogrzebowy przedstawia. Dobrze, że do nas trafiłeś** i jest odpowiedzią autora i właściciela zakładu pogrzebowego, Petera Wilhelma, na rozliczne pytania znajomych i nowopoznanych osób o szczegóły pracy w takim miejscu. Przede wszystkim Peter zaspokaja ciekawość czytelników, opisując procedurę od momentu przyjęcia zlecenia do chwili, gdy nieboszyk trafia do ziemi. W dalszych rozdziałach ze swadą opowiada o różnych nietypowych przypadkach, z którymi zetknął się w swoim zakładzie. Mimo drastycznej tematyki w książce nie ma taniej sensacji, a każda strona przesycona jest szacunkiem zarówno dla martwych, jak i żywych klientów. Praca w takim miejscu nie jest pewnie



Imogen Edwards-Jones
Air Babylon



Peter Wilhelm
Zakład pogrzebowy...



Piotr Matysiak
Na marginesach życia

szczytem marzeń człowieka, ale książka Petera Wilhelma przekonuje, że nie jest to wybór najgorszy z możliwych.

Na marginesie

Jest jeszcze opowieść za naszego rodzimego podwórka. ***Na marginesach życia. Zapiski kuratora sądowego*** – książka autora występującego pod pseudonimem Piotr Matysiak to bardzo emocjonalne zapiski o pracy w zawodzie kuratora i o podopiecznych, którym najczęściej nie da się pomóc. Plastyczne opisy wizyt w ich domach, mieszkaniach, norach, barłogach i melinach robią niezatarte wrażenie. Jeśli dodamy do tego zawodowe kontakty z ludźmi, którzy kolejne dzieci przeliczają na zasiłki, a te z kolei na butelki taniego wina, otrzymamy obraz profesji, w której przetrwają najtwardsi i najbardziej zahartowani. Można zadać sobie pytanie, skąd w ogóle biorą się chętni i na tyle odważni, by przekraczać progi mieszkań alkoholików i awanturników. Co ich napędza? Na pewno nie zarobki – autor jeździ rozklekotanym, starym samochodem. Między wersami znajdziemy odpowiedź. Oprócz adrenaliny, jest to nadzieja, że komuś jednak uda się pomóc, i satysfakcja, gdy podopieczny wyrwał się ze swojego destrukcyjnego środowiska.

A ty kim zostaniesz?

Marzysz o przekwalifikowaniu się, zamierzasz zostać lekarzem, pilotem, restauratorem? Najpierw zweryfikuj swoje marzenia, sięgając po książki, które bez żadnej ściemy opowiadają, jak pracuje się w danym zawodzie, nie kryją negatywów, nie szczędzą

anegdot, pokazują skondensowaną rzeczywistość. Nie od dziś wiadomo, że książki uczą. W tym przypadku mogą uchronić niejednego z nas przed życiową pomyłką i zawodową katastrofą.

Agnieszka Kalus



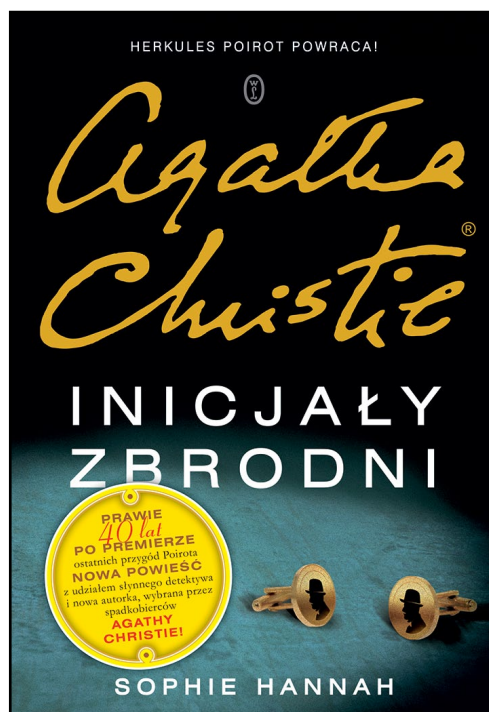
Hercules Poirot

wciąż tropi...

Zjawisko to nie jest nowe, choć od zawsze budzi spore kontrowersje. Głosy oburzenia płyną z wielu stron, co zwykle nie zniechęca do doprowadzenia projektu do końca. Najbardziej protestują ci, którzy ostatecznie i tak to kupią, czyli czytelnicy. O czym mowa? O książkach, które są albo kontynuacją znanego cyklu, albo dają nowe życie známym bohaterom po śmierci autora, który je stworzył. Takich oficjalnych kontynuacji doczekało się **Przeminęło z wiatrem**, książki Jane Austen

czy cykl o Sherlocku Holmesie. Najnowszym wydawnictwem tego typu są **Inicjały zbrodni**, powieść detektywistyczna napisana przez Sophie Hannah o Herculesem Poirot – bohaterze stworzonym przez **Agathę Christie**.

Wielu czytelników poczuło niepokój, gdy kilka miesięcy temu podano do wiadomości, że spadkobiercy Agathy Christie wybrali Sophie Hannah, uznając pisarkę i autorkę poczytnych kryminałów, do napisania powieści z Herculesem Poirot. Przyznam, że ja także nie byłam zachwycona. Zastanawiałam się, po co w ogóle ożywiać na nowo tę postać. Dla pieniędzy? To wiadomo, ale czy rzeczywiście jest zapotrzebowanie na nowe książki a'la Christie? Przy najbliższej okazji sprawdziłam, czy uwielbiany przez miliony czytelników Hercules przypadkiem nie ucierpiał na skutek tego eksperymentu.



Sophie Hannah
Inicjały Zbrodni

Powieść zaczyna się od przysłowiowego trzęsienia ziemi, czyli trzech trupów oraz tajemniczej nieznamoj, która w stanie najwyższego zaniepokojenia zjawia się w ulubionej kawiarni Poirota. Sprawę zbrodni z ramienia Scotland Yardu ma rozwikłać Catchpool, prywatnie znajomy Herculesa. W rzeczywistości to sławny Belg kieruje śledztwem, starając się nauczyć mniej doświadczonego kolegę wyciągania wniosków i zadawania właściwych pytań. Intryga kryminalna jest dość skomplikowana, co widać w mowie końcowej Herculesa oraz wyjaśnieniach osoby zatrzymanej. Czytelnikowi ciężko samemu wywnioskować, jak doszło do zbrodni, choć autorka podrzuca tropy. Poirot, szczytający się nieprzeciętnym wąsem i jeszcze bardziej wyjątkowym umysłem, ogarnia wszystkie wątki, przeświecla wszelkie kłamstwa i dociera do samego sedna.

Z początku byłam nieco najeżona i podejrzliwa, jednak po kilkudziesięciu stronach porzuciłam uprzedzenia i popłynęłam z treścią. Nie jest źle, Poirotowi krzywda się nie dzieje, zachowano realia początku XX wieku, nowy przyjaciel detektywa, Catchpool, mógłby być co prawda bardziej rozgarnięty, lecz i tak jest dość uroczy. Zagadka kryminalna też ujdzie – bywały lepsze i gorsze zarówno w przypadku Christie, jak i Hannah. Kilkakrotnie odniosłam wrażenie, że w niektórych fragmentach autorka za bardzo się stara, próbuje komplikować akcję na siłę, a stąd już niedaleka droga do tego, by „prze-dobrzyć”. Jakkolwiek dobrze się bawiłam podczas lektury, wciąż nie umiem udzielić odpowiedzi na pytanie, czy światu na pewno potrzebne są kolejne powieści ze starymi bohaterami.

Agnieszka Kalus



Agatha Christie

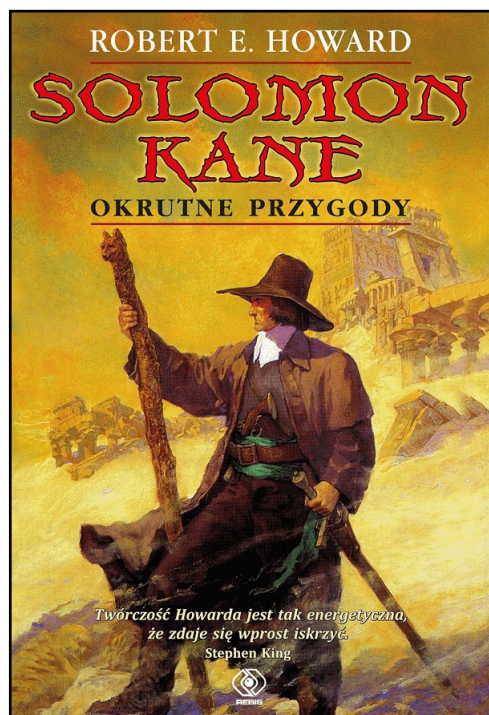


Solomon Kane

Okrutne przygody

Robert E. Howard z powodzeniem może być nazywany dziś ojcem barbarzyńców – żaden inny twórca w historii fantastyki nie zdołał wprowadzić do gatunku tak wielu charakterystycznych postaci, z czego jedna do dzisiaj pozostaje twarzą sword and sorcery. Conan z Cimmerii odniósł niebywały sukces, Kull z Atlantydy został raczej zapomniany, zaś warstwą kurzu przykryła się sylwetka Solomona Kane'a. Polscy

czytelnicy mają jednak właśnie okazję zapoznać się z trzecim z literackich dzieci Teksańczyka.



Robert E. Howard

Solomon Kane

Solomon diametralnie różni się od swoich rówieśników – nie jest to bezwzględny wojownik wywodzący się z surowej krainy, lecz angielski purytanin i śmiertelnie niebezpieczny przeciwnik stawiający raczej na przebiegłość niż brutalną siłę. Jednak nawet na przedstawiciela wyspiarskiego imperium czekają niebezpieczeństwa z repertuaru dziewięciu kręgów piekielnych – zarówno te bardziej namacalne (za przykład niech posłużą niebezpieczni rzezimieszkowie), jak i metafizyczne w postaci tajemniczych istot i zaklęć.

Przygody Solomona Kane'a w jakiś dziwny, nieuchwytny sposób znacząco różnią się od tego, co czytelnicy mogli podziwiać już w opowiadaniach o Cymeryjczyku czy Kullu. Jak wspomniano

wcześniej, Anglik nie jest typem zawa-
diaki, który niemal przy każdej okazji
skory jest do rozplątania kilku czere-
pów (wystarczy przypomnieć sobie
Conana – krzywe spojrzenie rzucone
mu w gospodzie mogło skutkować na-
głym wzrostem śmiertelności w lokalu)
– co więcej, nawet jego niepospolite
umiejętności fechtunkowe nie zapew-
niają mu całkowitego bezpieczeństwa.
W ***Okrutnych przygodach*** jest kilka tek-
stów, w których purytanin znajduje
się między przysłowiowym młotem
a kowadłem, a pomoc przychodzi mu
z najmniej oczekiwanej strony. I, co
ciekawe, to jest właśnie ten aspekt,
który najmocniej odróżnia przygo-
dy Solomona od jego późniejszych
„braci”.

Mowa zaś o dość specyficznej fan-
tastyczności jego eskapad – bliżej im
nie do ***sword and sorcery*** (czyli epic-
kich przygód i ratowania pięknych
kobiet z mieczem w rękę i pieśnią na
ustach), lecz raczej czegoś na kształt
ludowych, mrocznych opowieści czy
nawet baśni braci Grimm. Inaczej
mówiąc, mowa tu o najprostszym
schemacie – jest zbrodnia, jest także
i kara, nawet jeśli odległa w czasie, to
z pewnością nieuchronna. Najlepiej
obrazuje to chyba pierwsze opowiada-
nie, czyli ***Czaszki wśród gwiazd***, i prze-
konanie szwarczarakteru o dosko-
nałości swojej zbrodni – tymczasem
prawdę o niej Solomon poznaje z dość
nieoczekiwanego źródła, pozwalając
jednocześnie lokalnemu upirowi na
dokonanie zemsty. Podobnych przy-
kładów jest w ***Okrutnych przygodach***
zdecydowanie więcej. Nawet króciutka
Prawa ręka zatracenia czy ***Grzechot
kości*** to swego rodzaju ukoronowanie



Robert E. Howard

motywu zbrodni i kary. Nawet jeśli ta
w przypadku trzech wspomnianych
wyżej tekstów dosięga zbrodniarzy
z zaświatów.

Sam Solomon Kane to także intry-
gująca postać. Po części wykreowany
na kogoś pokroju gorliwego inkwizy-
tora ma także w sobie coś z postaci
Conana – mowa tu o mocno rozwi-
niętym poczuciu sprawiedliwości.
Jest to mieszanka iście wybuchowa,
bo z jednej strony nawet najgorsze
pomioty piekielne nie są bohaterowi
straszne, z drugiej zaś nie waha się on
wykorzystywać ich mniej lub bardziej
bezpośrednio, jeśli ma to oznaczać
ocalenie jego skóry i jednocześnie wy-
mierzenie kary odpowiedniej osobie.
Wręcz nie sposób nie użyć tu znanego
powiedzenia „cel uświęca środki”. Bo
najwyraźniej takie słowa przyświecają
Solomonowi podczas jego podróży.

W przedmowie do recenzowanego wydania tekstów Howarda możemy dowiedzieć się, że fabuła opowieści o Solomonie jest znacznie bardziej surowa niż w przypadku późniejszych dzieł Teksańczyka. I tak jest faktycznie – warstwa tekstowa jest tutaj naprawdę odarta z każdego elementu, który nie był autorowi niezbędny do przedstawienia konkretnej sytuacji. Aczkolwiek ten zabieg obnaża niekiedy niedoskonałości warsztatu Howarda – nigdy nie był on wirtuozem pióra i w **Okrutnych przygodach** widać to niekiedy aż nazbyt dobrze. Niektóre fragmenty bywają po prostu męczące za sprawą narracyjnego chaosu – niekiedy do tego stopnia, że podczas lektury niemalże trzeba robić kilkuminutowe przerwy. A potęguje to fakt, że – wzorem poprzednich wznowień Howarda – tłumacz postanowił zachować tekst w niezmienionej formie łącznie z błędami, jakie znajdowały się w pier-

wowzorach. Nie jest ich zbyt dużo, ale skutecznie potrafią wybić z czytelniczego rytmu.

Kto wie, jak dzisiaj wyglądałby dorobek Howarda, gdyby nie jego nagła śmierć? Mimo wszystko pozostawił on czytelnikom trzy bardzo charakterystyczne dla **sword and sorcery** i fantastyki ogółem postaci, nawet jeśli Solomon Kane pasuje do swoich młodszych braci jak pięść do nosa. Jednak iście grimmowski klimat towarzyszący jego przygodom i charakterystyczne wykorzystanie przez Teksańczyka schematu zbrodnia-kara z powodzeniem nadrabia zarówno braki warsztatowe, jak i poświęcenie większej uwagi unikom i sztuczkom bohatera, nie zaś nad wyraz efektownym (i krwawym) starciom. Dla czytelników oczarowanych klimatem opowieści z Conanem i Kullem w roli głównej to rzecz obojętna.

Dawid „Fenrir” Wiktorski



PREMIERY. gier

#hack'n'slash #akcja #fantasy

Sacred 3

Sacred 3 to idealny przykład rozmieniania kultowej serii na drobne. Twórcy, chcąc wyjść naprzeciw obecnie panującym trendom, całkowicie odcięli się od dorobku swoich kolegów (trzecia część została stworzona przez inne studio). W rezultacie otrzymaliśmy zupełnie nową grę, której celownik na pewno nie został wymierzony w fanów poprzednich części. Na domiar złego luneta snajperska nieco się rozregulowała, a rykoszetem oberwał każdy bez wyjątku.

Sacred 3 nie może pochwalić się otwartym światem. Wręcz przeciwnie – jest liniowy do bólu, gdzieśniedzie dając jedynie pozorną możliwość wyboru ścieżki. Nie przeszkodziło to jednak twórcom w umieszczeniu zablokowanych lokacji, które na pewno pojawiają się w formie płatnych dodatków. Nie tędy droga, wędrowcze!

Na szczęście na strudzonego podróżnika czeka chwila wytchnienia i wbrew pozorom nie zapewni jej dziewczka napotkana w przydrożnej karczmie, a posoka krwi tryskająca z aorty rozczłonkowanego właśnie demona. Pod względem walki **Sacred 3** daje z siebie wszystko. Potyczki są



efektywne i satysfakcjonujące. Na chwilę można zapomnieć o innych bolączkach gry.

A tych jest całkiem sporo. Nie miejsce tu jednak i czas na wymienianie każdej z osobna. **Sacred 3** to przyjemna młócka w nieco innym stylu niż **Diablo**. W zalewie bliźniaczo podobnych gier można jej powierzyć swój miecz... lub laskę, jeżeli bliżej wam do bujących w obłokach.

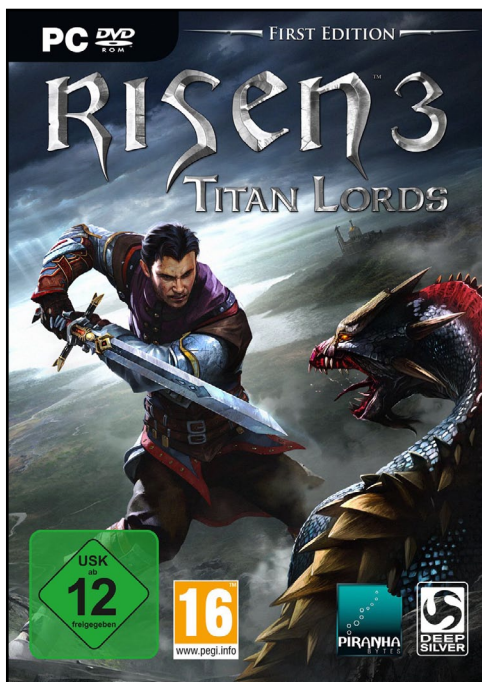
#crpg #Bezimienny #piraci

Risen 3: Władcy tytanów

Risen 2 podzielił fanów studia Piranha Bytes na tych, którzy pirackie klimaty pokochali, i na tych, którzy zasnęli już po pierwszej butelce rumu. Trójka, choć nawiązuje do spuścizny **Gothica**, zdaje się ten podział cementować. Tę grę albo się uwielbia, albo nienawidzi.

Władcy tytanów stawiają przed nami jeszcze bardziej otwarty świat. Po krótkim wprowadzeniu, z którego dowiadujemy się, w jakie kłopoty wpadliśmy, gra daje nam wolną rękę i starą łajbę do dyspozycji. Zwiedzić można kilka wysp i kawałek kontynentu, a w każdym z tych miejsc czeka na nas ogrom zadań do wykonania. Jedne interesujące, inne wręcz trywialne, ale do tego „Piranie” przyzwyczajają nas od lat.

Risen 3 czerpie garściami z dorobku poprzednich części – tak pod względem walki, jak i rozwoju postaci. Nowością jest sterowanie własnym statkiem, choć czynność ta nie należy do najprzyjemniejszych. Szczury lądowe będą rzucać wyzwiskami ku uciesze Beliara.



Niepowtarzalny jest natomiast klimat. Tam, gdzie trzeba, twórcy puszczają do nas oko, by za chwilę rzucić nas na pożarcie bezwzględny bestiom. Udany powrót zaliczyła magia, która w drugiej części była zastąpiona przez voodoo.

Wszystko to składa się na apetyczną i lekkostrawną całość. W gardle mogą stanąć wyłącznie pirackie naleciałości, jeżeli ktoś nie trawi dużej ilości grogu i przyśpiewek o portowych pięknościach. Dla fanów pozycja obowiązkowa.

#FPS #postapokalipsa #2w1

Metro Redux

Jedna z najbardziej klimatycznych gier ostatnich lat doczekała się odświeżenia w jakości HD. Choć zazwyczaj jestem przeciwny takim zabiegom, uważając je za zwykły skok na kasę, w tym przypadku muszę zdjąć maskę gazową i wyrazić uznanie dla ukraińskich programistów.

Metro Redux to nie tylko przekonwertowanie grafiki do wyższej rozdzielczości. To także całkowita zmiana mechaniki pierwszej części (**Metro 2033**), która – nie bójmy się tego powiedzieć – w oryginalnej postaci była toporna i ciężka w odbiorze. Dzięki temu ponownie mamy możliwość przeżycia przygody w moskiewskim metrze i odświeżenia wydarzeń zarówno z **Metra 2033**, jak i zeszłorocznej kontynuacji o podtytule **Last Light**.

Grając w **Metro Redux** na każdym radioaktywnym kroku czujemy, że twórcy włożyli w to swoje serce. Lokacje są nie tylko ładniejsze. Pojawiło się też wiele nowych elementów otoczenia, a nawet drobnych misji



pobocznych, które dodają smaczkowi postapokaliptycznej tułaczce.

Metro Redux to idealna okazja dla wszystkich tych, którzy z jakichś powodów nie mieli przyjemności obcować z tą serią. Jesienna zgnilizna za oknem i niepokojąca mgła stwarzają idealne podłoże do nadrobienia zaległości.

#symulacja #życie

The Sims 4

Z pozoru trywialna gra o życiu od wielu lat okupuje topowe miejsca list przebojów. Jej najnowsza część miała być podsumowaniem 14-letniego dorobku serii i wypukleniem najlepszych elementów. Niestety na chęciach się zakończyło, bowiem czwórka to nie-zrozumiały krok wstecz.

Zamiast nowych możliwości gracze otrzymali denerwujące ograniczenia. Twórcy wykastrowali grę z ważnych elementów i prawdopodobnie będą je sprzedawać jako oddzielne dodatki. Takim sposobem w symulacji życia nie napotkamy małych dzieci i nie wykąpiemy się w przydomowym basenie. Co jak co, ale zabawy nad wodą w towarzystwie Kostuchy to znak rozpoznawczy całej serii.

Na szczęście braki równoważone są przez ciekawe nowości. Intuicyjny kreator postaci czy nieznany dotąd system emocji sprawdzają się wyśmienicie. Podobnie jest z funkcjami społecznościowymi, dzięki którym możemy skorzystać z projektu budowlanego innych graczy.

Mimo wszystko w obecnej formie **The Sims 4** wywołuje znużenie i poczucie wtórności. Pozycja wyłącznie dla najbardziej zagorzałych fanów. Resz-



ta może poczekać na kilka dodatków, które załatwią braki, a w tym czasie skierować swój wzrok ku **The Sims 3**. To wciąż świetna gra.

#postapokalipsa #crpg #turowa

Wasteland 2

Wasteland 2 to gra, która miała przypomnieć, za co tak właściwie kochamy drugiego **Fallouta**, i jednocześnie podkreślić najważniejsze elementy dobrego cRPG-a. Całkiem sporo, jak na grę finansowaną z pieniędzy graczy. Czy obietnice zostały spełnione?

Na to pytanie trudno jest odpowiedzieć jednoznacznie. **Wasteland 2** to faktycznie duchowy spadkobierca **Fallouta** i czuć to na każdym kroku. Postapokaliptyczny świat wprowadza w zadumę i uświadamia, że wszystko może się zdarzyć, a każda społeczność rządzi się swoimi prawami. Nie brakuje tu elementów humorystycznych. Satyra przeplata się ze śmiertelną powagą, tworząc unikalny klimat. Kult mnichów czczących bombę atomową to pierwszy z brzegu przykład. Zabawny i jednocześnie niebezpieczny, wszak broń masowego rażenia w rękach szaleńców nigdy nie prowadzi do dobrego zakończenia.

W **Wasteland 2** urzeka mnogość wyborów i niejednoznaczność ich skutków. Często wybieramy pomiędzy śmiercią jednych, a życiem drugich. Żadna decyzja nie jest jednak do końca słuszna, zupełnie jak w prawdziwym życiu.

Przytłacza również ogrom postapokaliptycznego świata. Często natrafiamy na mikrosocjety, których uczymy się od zera. Szacunek u jed-



Skala ocen:

Balls of steel

Headshot!

I live, again

Let's rock

War. War never changes

Przed wyruszeniem w drogę,
należy zebrać drużynę

Finish him!

Bomb has been planted

**
Blood for the Blood God

*
Game over

nych nie oznacza bowiem taryfy ulgowej u innych. Na respekt trzeba sobie zapracować, wykonując trywialne, jak i bardziej skomplikowane zadania.

Wasteland 2 to diament wymagający sporo szlifów, by lśnił pełnym blaskiem. W oczy kłują wszędobylskie błędy, które potrafią mocno uprzykrzyć rozgrywkę. Radioaktywnym odpadem jest także polonizacja. Z rodzimym językiem ma to niewiele wspólnego. W niektórych momentach należy się mocno głowić, co autor miał na myśli. A przecież nie jest to gra logiczna!

Powrót na łono niegościnnych pustkowi to mimo wszystko najlepsza rzecz, jaka mogła spotkać fanów **Fallouta**. Drobne potknięcia są w pełni rekompensowane przez znakomity klimat i ogromny świat, który wciąga na długie godziny.

#MMO #science fiction #strzelanka

Destiny

Podstawowym problemem **Destiny** jest przeszłość jej twórców. Ojcowie kultowej serii **Halo** zapowiedzieli bowiem, że stworzą nową grę i całkowicie odetną się od swoich korzeni. Chcieli dać nam coś unikatowego. A wyszło jak zawsze.

Destiny na kilometr cuchnie **Halo**, jednak w tym przypadku nie jest to komplement. Autorzy nie mogli się zdecydować, w którą stronę pójść. Stanęli na rozdrożu i zamiast wybrać którąś ze ścieżek, postanowili wykopać własny tunel, który zawalił się kilka minut później.

Lokacje w grze są imponujące, jednak wzbudzają nasze zainteresowanie wyłącznie za pierwszym razem. Później



jest już tylko nudny grind i strzelanie do tych samych grup przeciwników. Nie powala również fabuła. Jest drętwą i bez polotu.

Na szczęście sytuację ratuje walka. Strzały z broni są soczyste i posiadają to coś, co sprawia, że kąciaki ust mimochodem składają się do uśmiechu po zapakowaniu kulki centralnie między oczy. A gdy dodamy do tego zadania wykonywane z żywymi graczami czy wreszcie tryb PvP, może się okazać, że **Destiny** to ciekawa opcja na leniwe popołudnie.

Odczucia byłyby zupełnie inne, gdyby **Destiny** nie zostało wykreowane na największą premierę tego roku. Obecnie jest to przerost formy nad treścią i mocno niewykorzystany potencjał. To zaledwie przeciętna gra.

Opracował: *Wojciech Onysków*



BUDUJEMY
MUZEUM GIER WIDEO
WE WROCŁAWIU

Z kamerą wśród gier

Dobre egraniczacje można policzyć na palcach jednej ręki. Większość gier, która w mniejszym lub większym stopniu nawiązuje do filmowego hitu, powstaje wyłącznie z myślą o wyciągnięciu dodatkowych pieniędzy z kieszeni wiernych fanów. Od każdej reguły istnieją jednak wyjątki i to właśnie nimi należy się zainteresować.

Wycieczka w przeszłość

Gry na bazie filmów powstawały od samego początku istnienia elektronicznej rozrywki. Jednym z pierwszych tytułów był niechlubny **E.T.** O ile do samego filmu nie można się przyczepić – to jedna z najlepszych produkcji Stevena

Spielberga – tak gra zasługiwała wyłącznie na zapomnienie. Recenzenci byli zgodni – to najgorsza egraniczacja w historii naszej branży i to właśnie z tego względu pudełka z podobizną przybysza z kosmosu zostały zakopane i zalane betonem na pustyni.

Nieco lepiej wypadła adaptacja przygód młodzieńca, którego co roku w okresie przedświątecznym możemy spotkać na Polsacie. **Home Alone**, czyli **Kevin sam w domu**, był prostą zręcznościówką i w swojej roli sprawdzał się znakomicie. Ucieczka małym chłopcem przed dwoma niezdarami przy wykorzystaniu zróżnicowanych elementów oto-



Home Alone



Król Lew

czenia dawała dużą satysfakcję. I choć gra mieściła się na jednej dyskietce, a jej przejście nie zajmowało więcej jak godzinę, na zawsze pozostała w mojej pamięci.

Niewątpliwym hitem lat osiemdziesiątych był film **Obcy**. Podczas gdy na dużym ekranie, a później na taśmach odtwarzanych przez hałasujący magnetowid królowała Ellen Ripley, posiadacze ZX Spectrum przemierzali klaustrofobiczne pomieszczenia słynnego statku kosmicznego. **Aliens** był swego rodzaju celowniczkim i protoplastą dzisiejszych FPS-ów. Rozgrywka polegała na przemieszczaniu się po 250 pomieszczeniach statku przy akompaniamencie skrzeczących obcych. Liczył się nie tylko refleks, ale także pomysłupek. Bliskie spotkanie z ksenomorfem koń-

czyło się natychmiastowym zgonem, a zastrzelenie drapieżnika w drzwiach blokowało dostęp do kolejnej lokacji ze względu na wyciekający z ciała kwas. Pomimo umownej grafiki **Aliens** potrafiło porządnie przestraszyć. I nagle wzrastały rachunki za prąd, bo nikt nie chciał zasypiać przy zgaszonym świetle.

Ostatnim przykładem epoki pikse-la jest **Król Lew**. Gra została wydana w tym samym roku, w którym do kin przedarł się dziecięcy wyciskacz łez. Komputerowa adaptacja była przyjemną platformówką, która oferowała olśniewającą jak na tamte czasy oprawę audiowizualną. Feeria barw przeplatała się ze zróżnicowaną i często pomysłową rozgrywką. **Król Lew** miał wszystko, co potrzebne do świa-



Enter the Matrix

towego sukcesu. Zarówno w kinie, jak i na ekranach (czasem czarno-białych) monitorów.

Uzupełniając historię

Growe adaptacje filmów albo bezpośrednio przedstawiają wątki z dużego ekranu, albo luźno do nich nawiązują. Ciekawym urozmaicheniem tego schematu są tytuły uzupełniające historię. Było tak w przypadku ***Enter the Matrix***. Uniwersum stworzone przez (jeszcze wtedy) braci Wachowskich zna chyba każdy, kto urodził się przed końcem ubiegłego wieku. Aby zagłębić się we wszystkie wątki i błyszczeć niespotykaną wiedzą na temat ***Matrixa***, należało poznać również grę.

Enter the Matrix przedstawiał wydarzenia, które rozgrywały się równolegle do filmowej trylogii. Gracz wcielał się w Ghosta i Niobe. Postacie te na srebrnym ekranie pojawiały się epizodycznie, jednak odegrały bardzo ważną rolę w wojnie z maszynami, o czym dowiadujemy się właśnie z gry. Twórcy nie pozostawiali fanom zbyt dużego wyboru – w ***Enter the Matrix*** trzeba było zagrać. Tym bardziej, że był to kawał naprawdę dobrej strzelaniny. Brudny klimat ***Matrixa*** wręcz wylewał się z ekranu, a zastosowany tu ***bullet time*** swoją miodnością nie ustępował ***Maxowi Payne'owi***. A gdy z magazynku wystrzelona została ostatnia kula, nie pozostawało nic innego, jak solidny



kop z półobrotu w twarz – rzecz jasna po uprzednim odbiciu się od ściany.

Drugą adaptacją, która idealnie wpisywała się w koncepcję fabularnego uzupełnienia, były **Kroniki Riddicka: Ucieczka z Butcher Bay**. Gra stanowiła kontynuację filmu **Pitch Black** i wyjaśniała, w jaki sposób wyjęty spod prawa skazaniec wydostał się z tytułowego więzienia.

Ucieczka z Butcher Bay jest bez wątpienia jedną z najlepszych, jeżeli nie najlepszą grą powstałą na bazie filmu. Na taki sukcesłożyło się kilka elementów – przede wszystkim osobiste zaangażowanie Vin Diesela, czyli aktora, który w kinie wcielał się w postać Riddicka. Jego potężna

aparycja, niski, niepokojący głos i pewność siebie towarzyszyły nam przez cały czas. To właśnie dzięki temu gracz czuł się łowcą, pomimo iż zamknięty był w najlepiej strzeżonym więzieniu w całej galaktyce.

Studio Starbreeze AB postawiło na dwojaką konstrukcję gameplayu. Oprócz typowej strzelanki, dużo tu było również elementów skradankowych, w których obserwowaliśmy świat zza pleców bohatera. To właśnie wtedy podziwialiśmy kunszt Vina Diesela i to w tych momentach budowany był klimat zaszczucia. **Ucieczkę z Butcher Bay** musi znać każdy szanujący się fan ciężkiego science fiction.



Kroniki Riddicka: Ucieczka z Butcher Bay



Błądząc po Śródziemiu

Władca Pierścieni nie ma szczęścia do growych adaptacji. Na kanwie powieści Tolkiena powstało i nadal powstaje mnóstwo tytułów, jednak większość z nich reprezentuje co najwyżej średni poziom. Białym krukiem tego stada jest **Powrót Króla**. Czysta, niczym nieskrępowana akcja, znane postacie i epickie bitwy, które na długo zapadają w pamięć – czy do szczęścia fani Śródziemia potrzebują czegoś więcej?

Niezaprzeczalnym atutem gry była filmowa licencja. Twórcy wiarygodnie przenieśli większość postaci, zachowując ich -wygląd i charakter znany z wielkiego ekranu. Legolas podczas walki droczył się z Gimlim, Gandalf służył swoją wiedzą i magią, a Aragorn zachowywał rozsądek, jak na przyszłego

króla przystało. Dzięki temu ponowne rozegranie dobrze znanych scen sprawiało masę frajdy!

Napisy końcowe

Egranizacja może być udana, jeżeli twórcy od samego początku postawią sobie ambitne cele – zainteresować fana, nakarmić go dodatkowymi informacjami o jego ulubionym filmie czy zaoferować możliwość bliższego poznania bohaterów, których podziwiał na srebrnym ekranie. Niestety studia deweloperskie zazwyczaj żerują na filmowej licencji i często zapominają, że jest to dopiero pierwszy krok ku dobrej grze. A fani takich rzeczy nie wybaczą...

Wojciech Onyszków



Powrót Króla